



Zeszyty TŁUMACKIE



I KWARTAŁ

2002

ISSN: 1426-4129

Nr 1 (25)

Pismo Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan — Wrocław

Tłumacz ul. pańska.
Тлумач вул. панська.



Chrystus Pan Zmartwychwstał!

Prawdziwie Powstał!

*Najserdeczniejsze Życzenia Świąteczne Błogosławieństwa
Zmartwychwstałego dla wszystkich naszych Czytelników życzą
Zarząd i Redakcja*



Kresowa Wielkanoc

Jan Johnson

*Wielkanoc. Kresy. Wśród huku bomb i ognia
Messerschmity leciały górą szykiem zwartym
Śmierć zaglądała już od samego dodnia
A było to w roku czterdziestym czwartym.*

*W tym dniu nie dzwoniły już dzwony
A potem... jeszcze długie nie dzwoniły lata
„Nie lzia!” Słyszały, więc milczały one,
Jakaż to dla Polaków bolesna była strata.*

*Ostatni raz słyszałem je, a było to w maju
Gdy żegnaliśmy Tłumacz, skazani na wygnanie
Żegnały nas smutno, jak wygnańców z raję.
Tam zaczęło się życie, tam zostało kochanie.*

*Dziś z Pokucia, Wołynia czy Podola
Wielkanocnych dzwonów do nas leci ton
Radośniejszym dźwiękiem nad lasy i pola
Wysoko do nieba przed Boży tron.*

*I „Kresowa Modlitwa” stamtąd Polaków
Złączona z prośbą do Ciebie płynie Panie
Za naszą Ojczyznę, za tyle „znaków”
Z podzięką za takie mocne kochanie.*

*Kościoły, choć ich nie ma i tak wiary bronią
A dzwony, niewidoczne do dziś pozostały
I na Wielkanoc zawsze głośno dzwonią
Lecz słyszy je tylko Jezus Zmartwychwstały!*

Kto pamięta

Tadeusz Boodniak

*kto z Was pamięta
wiosny Pokucia
niknące śniegi na zboczach gór
wartkie strumyki
i zmienną w słońcu
gamę kolorów uprawnych pól*

*kto z Was pamięta
palmowe niedziele
i palmy jak szable trzymane na sterc
w tłumackim kościele
u św. Anny w modlitwie
lud wiernych powierzał swój los*

*a Rezurekcje wczesnym porankiem
gdy Alleluja rozbrzmiała pieśń
młodzież tłumacka
chłopcy i panny
o Zmartwychwstaniu głosili wieść*

kto z Was pamięta?



Wielkanocny piernik w Tłumaczu

„Koziorożec”

Sąsiadów się nie dobiera, ani nie wybiera. Po prostu, któregoś dnia stwierdzamy, że mieszkają obok nas lub naprzeciw. Do jednych czujemy sympatię od zaraz, do innych różnie.

Mieliśmy w Tłumaczu sąsiadkę, która przychodziła dosyć często i jak mówiła – na chwileczkę. Właśnie, zapewniała, zaczyna gotować obiad i brakło jej soli albo pieprzu, czy też troszeczkę cukru.

Najbardziej lubiła stawać w otwartych drzwiach (bo już wychodzi), po czym małymi kroczkami wchodziła do kuchni i siadała na pierwszym krześle lub stołku, jaki był pod ręką, nie przestając mówić. A tematów miała na wiele kronik towarzyskich.

Po paru godzinach zrywała się. Mąż na pewno przyszedł z pracy i czeka na obiad.

Próbowano różnych sposobów, aby skrócić te uciążliwe odwiedziny, ale żaden nie był skuteczny.

Jedna z tych tzw. krótkich wizyt wypadła przed Wielkanocą w dniu pieczenia ciasta. Atmosfera była napięta i gorąca. Różne smakołyki dojrzewały rozstawione w całej kuchni. A sąsiadka prowa-

dzi monolog. Wszyscy zajęci, nikt nie słucha. Tej pani to nie przeszkadza.

Zaczyna się wkładanie ciasta do pieca. Ale gdzie jest piernik? Poszukiwania nie dały rezultatu, jak również zaglądnienie do pieca. Nikogo nie było, a piernik przepadł razem z blaszką.

Sąsiadka, widząc, co się dzieje, wstała z krzesła i wtedy piernik się znalazł. Jeżeli to, co było przyklepione do spódniczki, obfitych kształtów tej pani, można tak nazwać.

Piernik diabli wzięli, ale należało jeszcze zeszkrobać to, co było piernikiem.

Sąsiadka przeproszała, że nie zauważyła, jak siadała, że przyszła tylko na parę minut i nie wie, jak to się stało.

Co się później działo, kiedy pierwsza złość minęła, trudno dokładnie opisać. Ale nastąpił histeryczny śmiech, a potem ten gremialny i wesoły, który rozładował napięcie.

Po tym piernikowym wydarzeniu sąsiadka przestała przychodzić (na chwilę). Podobno zaczęła kurować męża, ponieważ w oczekiwaniu na obiady zmizerniał i był bardzo wycieńczony. □

Ludu, mój ludu, cóżem Ci uczynił?...

Mieczysław Zdanowicz

Kiedy zaczynają topnieć śniegi i bulgotać potoki, z wielką nadzieją i wzrastającą radością wszyscy wypatrują oznak wiosny. Dnie stają się coraz dłuższe i cieplejsze. Ciemna ziemia nagrzana słońcem zaczyna parować. Pierwszym wiernym ptakiem naszej ziemi jest szary skowronek. Jego piękny jak srebrne dzwoneczki śpiew ożywia szary wokół krajobraz. A gdy bociany już przyleciały i rozpoczęły naprawianie swoich gniazd na stodołach, wówczas wszyscy we wsi uważają to za oznakę prawdziwej wiosny. Rozpoczynają się intensywne prace w ogrodach i sadach, a następnie na polach przy oraniu i zasiewie wiosennych zbóż jarych. Za pługiem i oraczem krok w krok chodzą bociany, zbierając chrząszcze, pędraki i myszy polne. Oczekiwania wiosny i Zmartwychwstania rozpoczyna środa popielcowa, jest ona przede wszystkim początkiem wielkiego postu i przypomina nam biblijny czterdziestodniowy post Mojżesza na Górze Synaj. Kto tylko może spieszy na poranne nabożeństwo z drogą krzyżową. Pochylają się kornie głowy przed szczyptą popiołu i sakramentalnymi słowami księdza – prochem jesteś i w proch się obrócisz! Wśród wielu pieśni wielkopostnych najbardziej wzruszającą była pieśń:

Ludu mój ludu, cóżem Ci uczynił – w czymem zasmucił albo w czym zawinił – Jam Cię wyzwolił z mocy Faraona – a Tyś przyrządził Krzyż na me ramiona.

W naszym domu w Jezierzanach w powiecie tłumackim post ścisły obowiązywał we środy i piątki i był skrupulatnie przestrzegany. Szczególnie uroczystym liturgicznie dniem była Niedziela Palmowa upamiętniająca wjazd Jezusa na osiołku do Jerozolimy. Na drodze zebrane tłumy mieszkańców rzuciły zielone gałązki drzew oliwnych pod nogi Chrystusa. Wjazd Jezusa do Jerozolimy był ulubionym tematem obrazów malarzy Renesansu. Jeden z oleodruków sprzed pierwszej wojny w naszym domu właśnie przedstawiał ten uroczysty wjazd, jak zgromadzeni mieszkańcy miasta gałązkami palmy powiewali na znak radości, tak jak dawniej czyniono przy powitaniu zwycięskiego wodza. Na kilka dni przed Niedzielą Palmową młodzież wychodziła na pola i łąki, na poszukiwanie gałązek z zielonymi listkami i białymi baziami – łoziny, wikliny czy wierzby iwy. W domu matki lub babcie z wnukami układały wiązki palmy przewijając je kolorowymi tasiemkami lub szarfami. Każda palma była inna i niepowtarzalna. W czasie uroczystej sumy Ks. proboszcz Tadeusz Wróbel poświęcając je kropił obficie święconą wodą. Gdy ojciec powracał z nabożeństwa, palmą uderzał mego brata oraz mnie po grzbiecie, wymawiając tradycyjną formułę: *Palma bije, nie ja biję, od dziś za noc Wielka noc*. Palmy przechowywano przez cały rok zatknięte za świętym obrazem. Wierzono, że polknięta jedna bażka miała moc przerwania choroby. Od Niedzieli Palmowej rozpoczynał się Wielki Tydzień, pełen uroczystych nabożeństw i wyłożonej pracy.

Kościół pw. Św. Rodziny w Jezierzanach zbudowany został z drzewa modrzewiowego w XIX wieku. Nie posiadał organów lecz dużą fisharmonię, która dzięki znakomitej akustyce drewnianej konstrukcji kościoła brzmiała donośnie jak organy. Przez długie lata organistą

był Adam Okulowski, a po jego śmierci w 1940 r. Tadeusz Orłowski, dotychczasowy dyrektor szkoły powszechnej.

Niezwykle interesujące misterium stanowiło święcenie ognia i wody we środę Wielkiego Tygodnia. Na szerokim podcieniu pod kościołem, na stołku stawiano dużą drewnianą balię napełnioną wodą, obok na ziemi kładziono splecioną ciernistą koronę, którą zawsze robił kościelny Śmiechowski. Odprawiano modlitwy i śpiewy liturgiczne, kościelny podpalał cierniową koronę. Wierni z magicznym nabożeństwem, wpatrzeni w płomień ognia odmawiali modlitwy. Ksiądz Wróbel poświęcał wodę, a następnie wodą z balii skrapiał dopalający się ogień. Żarzące się jeszcze węgielki kościelny wrzucał do balii ze święconą wodą. Po błogosławieństwie i pokropieniu wszystkich przez księdza, wierni napełniali przyniesione ze sobą stoiki, buteki lub banieczi, w których pływały węgielki spalonej korony. Woda święcona miała chronić od złego, chorób i ognia.

Piątek Wielkiego Tygodnia, dzień ukrzyżowania Chrystusa miał wyjątkowe znaczenie religijne, a liturgia tego dnia była szczególna. Matka z samego rana białym płótnem zasłaniała lustro na znak żałoby. W czasie doniosłego nabożeństwa milczały organy, milczały też wszystkie dzwony i dzwonki. Na znak śmierci Chrystusa i zburzenia Jerozolimy ksiądz Wróbel w fioletach wywracał na ołtarzu wszystkie świeczniki. Następnie formowała się procesja i okrążała drewniany zabytkowy kościół. Liczni ministranci drewnianymi kołatkami, głośno klekocząc oznajmiali dzień śmierci Chrystusa.

W bocznym ołtarzu kościoła, gdzie przedtem ustawiana była Szopka – Stajenka Betlejemska, utworzony został grób skalny Chrystusa, udekorowany krzewami i kwiatami. Przyniesione przez parafian doniczki i skrzynki z zielonym już owsem i żytem ustawiane były przed grobem. Od wczesnego rana do późnego wieczoru w piątek i sobotę odbywała się adoracja grobu Chrystusa. Każdy z rodziny, chociaż na krótko winien złożyć hołd Chrystusowi, przeprosić za swoje grzechy i podziękować za odkupienie.

Sobota kończąca Wielki Tydzień była dniem intensywnej pracy dla „stołu wielkanocnego”. Szyunki, kielbasy, salcesony i pasztety zostały uwędzone wcześniej na kolor złocisto-brązowy. Jeszcze z sadów dochodziły subtelne zapachy wędzonego, z ustawionych tam domowych wędzarni. Chociaż w Wielką Sobotę obowiązywał również post ścisły, zapach wędzonego nie stanowił już grzechu. Ważną tradycją Wielkiej Soboty było święcenie „daru Bożego”. Starannie wyścielano białymi koronkowymi serwetkami kosze i koszyczki i następnie wkładano w nie wieniec kielbasy, kawał szynki, małą paschę, pośrodku małego baranka z ciasta lub cukru, a wokół baranka kilka pisanek i białych jajek. Ułożoną kompozycję dekorowano zielonym barwinkiem. Od południa do zmierzchu co godzinę Ks. Wróbel poświęcał dary Boże. Małe dzieci, córeczki i synowie towarzyszyli matkom lub babciom w obrzędowym poświęcaniu. Święcenie darów było też okazją do krótkich rozmów Ks. Wróbla z dziećmi. Sobota była też dniem odświętnego wystroju domu, wymiany pościeli, firan, obrusów. Stosy wypranej i wyprasowanej bielizny pachniały świeżością. W kuchni przyrządzane były wykwintne potrawy wielka-

nocne. Chociaż bardzo nęciły, były zakazane ścisłym postem. Strudzeni mieszkańcy późną już nocą kładli się na krótki odpoczynek, aby wcześniej rano pospieszyć na Rezurekcję. Uroczysta suma rozpoczynała się wraz ze wschodem słońca, jego promienie złociły drzewa i ożywiały jeszcze szary wokół krajobraz. Wszystkie dzwony wraz z sygnaturką wzywały wiernych do uczestniczenia w uroczystym Dniu Zmartwychwstania Pańskiego. W czasie uroczystości celebrowanej mszy świętej formowała się wielka procesja dookoła kościoła. Przy ołtarzu trzymając wysoko monstrancję Ksiądz intonował starą pieśń wielkanocną „Wesoły nam dziś dzień nastał”. Wierni mocnym głosem wołali: „którego z nas każdy żądał...”. Procesję prowadził ministrant z krzyżem, a za krzyżem zasłużony ministrant niósł figurę Zmarłychwstałego Chrystusa. Następnie postępował korowód kilkunastu ministrantów z dzwonekami w rękach, ubranych w białe komże. Za ministrantami panny i młodzieńcy nieśli różne chorągwie i sztandary stowarzyszeń i bractw. Następnie szła grupa dzieci odświętnie ubranych z zapalonymi gromnicami, udekorowanymi bukietami zielonego barwinka. Dwaj zasłużeni z bractwa różańcowego nieśli zapalone latarnie. Czterej uprzywilejowani gospodarze nieśli baldachim, pod którym Ksiądz w okazałym, tkanym srebrną i złotą nicią ornacie niósł monstrancję z hostią świętą. Księdzu towarzyszyli dwaj najdostojniejsi z bractwa i Rady Kościelnej, podtrzymując ramiona Ks. Wróbla. Za baldachimem szły młode i starsze kobiety, a za nimi młodzi i starsi mężczyźni. Rozkołysane dzwony głosiły chwałę zmartwychwstania, a ich potężny głos słyszalny był w okolicznych miejscowościach: Chocimierzu, Żywaczowie, Gruszce i Oleszy, „Chrystus Pan Zmartwychwstał” – pozdrawiali się parafianie, a na pozdrowienie odpowiadali: „Prawdziwie Powstał”. Po wyjściu z kościoła wszyscy spieszyli do swoich domów na Wielkanocne Śniadanie.

Stół Wielkanocny prezentował się okazale. Ustawiony pośrodku baranek z pieczonego ciasta z chorągiewką zmartwychwstania dominował nad całością. Pięknie wyglądały paschy, babki i kołaczki upieczone na złocistobrazowy kolor. Spory rewir stołu zajmowała duża, złocistoczarna szynka o intensywnym zapachu i wystającą kością. Swoją smak i kolor uzyskała po długim wędzeniu drzewem owocowym i opiekaniu w żeliwnym rondlu. Wokół szynki ułożone były liczne wieńce złotobrazowych kiełbas oraz salcesony i pasztety. Na dużej tacy ułożone w piramidę rogale z makiem, serem i tartą

różą oraz kruche ciastka polecane były do herbat z lipy, dziewanny lub dzikiej róży. Na talerzu ułożone kolorowe pisanki i święcone jajka białe. Do mięs wyłożone zostały korzenie dorodnego chrzanu oraz salatera ćwikły – czerwonego buraka z tartym chrzanem. Cały stół wokół udekorowany został zielonym barwinkiem. Stół taki prezentował pełną paletę barwy i nęcących zapachów.

Śniadanie rozpoczynał Ojciec od dzielenia święconego jajka i częstując biesiadników uroczystego śniadania składał życzenia zdrowia i błogosławieństwa Bożego. Wszyscy ściskali się nawzajem wkładając sobie do ust ćwiartki jajka święconego. Następnie częstowano się plasterkami aromatycznej szynki, później kiełbasy przegrzając ciętymi wiórami chrzanu lub według upodobania mocną ćwikłą. Śniadanie było na zimno – tylko herbaty gorące. Obiad w Niedzielę Wielkanocną był zawsze gorący – pierwszym daniem były kołduny w rosole, drugim kaczka lub gęś pieczona z nadzieniem tarniny i suszonych śliwek. Do ciast kruchych pachnących goździkami, wanilią i cynamonem była do wyboru herbata, kompoty i domowe piwo donoszone z piwnicy. Gdy rozpoczynaliśmy śniadanie, Ks. Wróbel dojeżdżał z Jezierzan bryczką zaprzęzoną w dwa kare konie do Żywaczowa (odległego 5 km) dla odprawienia nabożeństwa Rezurekcyjnego w tamtejszym kościółku. Po uroczystym nabożeństwie Ks. Proboszcz Wróbel był zapraszany do państwa Eugeni i Jana Tabińskich na śniadanie i poświęcenie wielkanocnego stołu. Śniadanie było nadzwyczaj okazałe i niczym się nie różniło od śniadań na dworach kresowych ziemian. Na drogę powrotną Ks. Wróbel był sownie obdarowany darami Bożymi Stołu Wielkanocnego. Goszczono się też w rodzinach i w sąsiedztwie. Ludzie byli radośni z odpuszczenia grzechów, z błogosławieństwa Zmartwychwstałego i z nadchodzącej pięknej kwitnącej wiosny.

Lecz nadszedł czas okrutny, czas okupacji sowieckiej i hitlerowskiej. Gdyśmy rozpaczliwie bronili swojej niepodległości zadano nam zdradziecki nóż w plecy! Dwaj odwieczni nasi wrogowie zdeptali nasze prawo do niepodległości. Siostra mego ojca z czworgiem małych dzieci wywieziona w 1940 r. na Syberię, zmarła pod koniec roku, po zjedzeniu skóry zdechłego psa. Osieroceni moi kuzynowie rozproszeni zostali po całym świecie. Myśmy w bydłowych wagonach zostali z Kresów wschodnich przesiedleni na Zachód. Straciliśmy bardzo wiele, lecz pamięć pozostała o tych dniach pięknych i szczęśliwych i też o dniach naszej kłęski. □

Tłumacz w dwudziestolecu międzywojennym

Mój mały Brat (cz. II)

Ks. Lesław Jeżowski

W odróżnieniu ode mnie Zbysiu interesował się sportem i wykazywał uzdolnienia w kilku jego dziedzinach. Szczególnie w piłce ręcznej i nożnej. Grał z kolegami, chodził na Stawiska, gdzie tłumackie kluby rozgrywały mecze. W tamtych latach nie ropowszechniły się jeszcze rowery na dwóch kółkach dla dzieci. W Tłumaczu nikt takiego wehikułu nie posiadał. Jeżdżono na rowerach trzykołowych. Przypuszczam,

że w mieście było ich kilka. Brat jakiś czas używał go, ale jego ulubionym pojazdem była hulajnoga. W posługiwaniu się nią doszedł do wielkiej wprawy i przemierzał na niej tłumackie ulice i parkowe aleje. Podczas wakacji w Piwnicznej często zjeżdżał na hulajnogę ze stromych gór. Zdarzało się, że niedostrzeżony przez niego kamień na ścieżce zatrzymywał nagle hulajnogę, brat upadał kalecząc sobie kolana. Ale te kontuzje nie odstraszały go od zawodzącej niekiedy deski na dwóch kółkach z kierownicą. Podczas wakacji spędzanych nad Popradem sam nauczył się pływać i z przyjemnością pokonywał dłuższe od-

ciniki tej górskiej, rwącej rzeki. W zimie, w Tłumaczu, opanował jazdę na nartach.

Te narty, wraz ze stosownym ubiorem, otrzymał wkrótce po mnie. Od dawna chciałem je mieć. Pragnąłem wędrować na nich po pagórkowatych okolicach Tłumacza, cieszyć oczy pięknem śnieżnego krajobrazu. Wiedząc o tym, jesienią Mama pojechała ze mną do Stanisławowa i tam, w sklepie z artykułami sportowymi w kamienicy Hauswalda przy ulicy Sapieżyńskiej, kupiła mi pięknie prezentujące się narty. Gdy Zbysiu je zobaczył, też zapragnął mieć podobne. Rodzice mieli pewne obawy, czy młodszy syn już dorósł do nich, ale i on wkrótce stał się ich właścicielem oraz potrzebnego do nich ekwipunku. Nie mieliśmy żadnego instruktora narciarskiego, trzeba było samemu uczyć się jazdy. Zbysiu robił w niej lepsze i szybsze postępy niż ja. Jednego dnia wybraliśmy się razem na zjeżdżanie ze wzniesienia znajdującego się za miastem, po lewej stronie drogi w stronę Nadorożnej. Zbysiu sprawnie zjechał ze zbocza, mnie się to nie udało. Prawdopodobnie narta zawadziła w śniegu o jakiś kamień, upadłem całym ciałem przed siebie, a nogi pozostały w górze. Z tej ukośnej pozycji nie mogłem się podnieść. Wykonanie jakiegokolwiek ruchu uniemożliwiały narty trzymające na uwięzi moje rozrzucone nogi. Leżąc twarzą do ziemi nie mogłem odpiąć ich od butów. Widząc mój upadek brat natychmiast znalazł się przy mnie. Patrząc na mój bezwład i bezskuteczność swoich prób dźwignięcia mnie rozplakał się. Odczuwając przeraźliwy ból w stawach skokowych obydwu nóg, prosiłem, aby rozpiął wiązania nart. Gdy to uczynił, mogłem już usiąść, a on objął mnie, przytulił swoją twarz do mojej i, wciąż płacząc, starał się mnie pocieszyć. Odczułem wtedy, jakiego mam dobrego, troskliwego brata. Na pożyczonych skądś sankach zawiózł mnie do domu, bo samodzielnie nie potrafiłem iść. Mocno naciągnięte stawy, czy też zwknięcie stóp, nie pozwalało na to. Relacjonując swoją przykrą przygodę w domu dodawałem, że gdyby nie Zbysiu mógłbym być, osamotniony, zamarznąć na śniegu nie mogąc się z niego podnieść. Po tym upadku odechciało mi się jeździć na nartach, a Zbysiu robił dalsze postępy w tej umiejętności.

Zanim otrzymaliśmy narty, niemal od dziecka uprawialiśmy saneczkarstwo. W domu było kilka sztuk, jednoosobowych. Nasi rówieśnicy snobowali się na posiadanie długich sanek. Im więcej mogło się na nich zmieścić osób, tym były lepsze. Takie sanki np. mieli mali Hrapkowiczowie. Wnet i my staliśmy się właścicielami podobnych. Przyjechały one do nas z daleka, bo aż z Nowego Sącza, jako dar naszej ciotki Janiny, z okazji św. Mikołaja. Ulubionym miejscem do zjeżdżania był dosyć wysoki nasyp kolejowy za starym żydowskim cmentarzem przy ulicy Słowackiego, w pobliżu stacji PKP. Korzystały z niego dzieci i młodzież z pobliskich ulic. My mieliśmy do niego bardzo blisko, więc gdy tylko panowały odpowiednie warunki śnieżne, albo razem albo odrębnie zjeżdżaliśmy na sankach ile się dało.

Nie urządziło się u nas dalszych rodzinnych wycieczek pieszych w okolicę Tłumacza, ale podczas wakacji spędzanych w Beskidzie Sądeckim my dwaj, pod przewodnictwem Ojca, wędrowaliśmy szlakami górskimi. Brat bardzo lubił te wielogodzinne wycieczki. Najbardziej wbiła się mu w pamięć ta na szczyt Radziejowej (1265 m.), skąd roztacza się niezwykle rozległy, zachwycający widok. Często o tej krajobrazowej panoramie opowiadał, a Radziejową uważał za najciekawszy

szczyt. Snuł dzieciinne marzenia, że gdy zostanie kiedyś „Kiepurą” i będzie miał, jak ten prawdziwy, dużo pieniędzy, zbuduje wiadukt z Nowego Sącza na Radziejową, którym będzie można w samochodzie wjeżdżać na sam wierzchołek góry. Wtedy i nasza Mama, ciotki i znajomi z Tłumacza, nie przepadający za turystyką, zobaczą jak stamtąd jest pięknie dokoła. W Tłumaczu Zbysiu z przyjemnością brał udział w wycieczkach szkolnych, zazwyczaj do lasów w Kahawie, do grotty w wapiennych skałach za Łokutkami i nad tłumacki staw.

Podobnie jak piesze wędrowki, kąpiele rzeczne, mój brat bardzo lubił kino. W Stanisławowie był jeszcze za mały, aby do niego chodzić, ale w Tłumaczu, po kilku latach pobytu tam, już mógł. Seanse filmowe, jak się je wówczas nazywało, odbywały się w sali Sokoła, jedynej większej w mieście. Nie codziennie, ale na ogół w soboty i niedziele. Jedyne duża frekwencja na jakimś filmie skłaniała aktualnego właściciela aparatury kinowej do projekcji jeszcze w jakimś dniu. Ci właściciele, chyba sami Żydzi, zmieniali się co pewien czas. Każdy z nich przeznaczał miejscowemu Starostwu kartę wolnego wstępu, z której korzystali tamtejsi urzędnicy. Dosyć często również ja i mój brat, posługując się tą kartą, oglądaliśmy kinowy program. Chodziliśmy na balkon, który w zasadzie nie był dostępny dla ogółu widzów. Nie było na nim numerowanych, drewnianych foteli złączonych trwale ze sobą w rzędy, jak na parterze, ale luźno stojące krzesła. Jeżeli na ekranie pojawiała się jakaś strzelanina lub inna scena z rodzaju „mrożących krew w żyłach”, Zbysiu odwracał krzesło i siedział tyłem do ekranu, co pewien czas sprawdzając lub pytając mnie, czy deprymujący go fragment filmu już się skończył. Jeżeli spostrzegł lub usłyszał ode mnie, że rzeczywiście minął, przywracał krzesło do poprzedniej pozycji i znowu był zwrócony twarzą do ekranu. Nie reagował na moją radę, aby zamiast dziwaczyć i wzbudzać swoim zachowaniem niepotrzebne zainteresowanie innych widzów, po prostu zamykał oczy. Dopiero na jakieś dwa lata przed wybuchem wojny zaniechał swego zwyczaju.

Inne zaskakujące zachowanie swego brata zauważyłem podczas wycieczek samochodowych. Bardzo lubił te jazdy, na które zawsze zabierał go Tata ze sobą, jak już napisałem, a w domu często siadał na krześle twarzą do owalnego oparcia, trzymał je oburącz jak kierownicę w aucie i udawał, że nim jedzie. Naśladował głośno szum motoru, dźwięki klaksonu, przy czym tak się niekiedy zapalał do tego szoferowania, że ośliniał sobie twarz i czerwieniał z wysiłku. Dopiero Mama przywoływała go do uspokojenia się i zaprzestania takiej wyczerpującej zabawy. Mimo przyzwyczajenia do prawdziwego auta, mimo przytoczonej zabawy w kierowcę samochodowego, w pewnym roku zaczął panicznie bać się podjazdów w górę, gdy p. Tomyn zmieniał biegi, a samochód zmniejszał szybkość. Krzyczał wtedy przerażony i chciał wyskoczyć z pojazdu. Na zatrzymywanie go w środku odpowiadał płaczem, który doprowadzał do tego, że rzeczywiście pozwalano mu wysiąść, Tata czynił to samo, a samochód ruszał dalej. Dopiero gdy stanął na szczycie wzniesienia, Zbysiu w towarzystwie Taty wsiadał do niego z powrotem. Za jakiś czas ten dziwny lęk przeszedł bratu.

Pewnego roku Zbysiu przestał chodzić do ćwiczeniówki, a przeniósł się do Państwowej Szkoły Powszecznej za Rynkiem. Nie pamiętam, co było tego powodem. Czy likwidacja ćwiczeniówki w związku z

zamknięciem Seminarium żeńskiego, czy też brak w niej wyższych klas. Odtąd mijaliśmy się dosyć często na wiosnę w pobliżu budynku Sokoła. Mam w żywej pamięci te spotkania. Ja wracałem przed 8 godziną z porannej Mszy św. w kościele, a on szedł do szkoły. Świeżo wymyty, uczesany, ładnie ubrany, w krótkich spodenkach, z teczką w ręce, Uśmiechaliśmy się do siebie i pozdrawiali. Cieszyły mnie te spotkania. Chociaż sam nie wiem dlaczego. Wszak poza godzinami spędzonymi w szkołach, w domu cały czas byliśmy razem, wciąż widzieliśmy się. Mimo to te uliczne spotkania w słońcu wiosennego ranka miały w sobie coś z przyjemnej niespodzianki.

Którejś zimy, w karnawale, Szkoła Powszechna urządziła kostiumowy bal dla dzieci. Tego jeszcze w Tłumaczu nie było. Nic więc dziwnego, że przygotowania do niego zaprzętnęły młode główki, a rodzice dzieci obmyślali dla nich odpowiednie stroje. Zbyszek miał wystąpić na balu jako polski szlachcic. I wystąpił. W brązowych butach z cholewami, atlasowych czerwonych szarawarach, jedwabnej koszuli spiętej pod szyją błyszczącą kłamarą, bogatym kontuszem z wywinętymi rękawami, w futrzanej czapce z czaplím piórem przypiętym efektowną broszą. Wszystkim uczestnikom balu bardzo się podobał, a jego koleżanki zabiegały o zatańczenie z nim. Zapewne nikt o tym balu nie myślał, że będąc pierwszym w Tłumaczu, był zarazem ostatnim. Bo odbywał się dnia 2 lutego 1939 r. Ale wspomnienia o nim zapisały się trwale w pamięci dzieci, o czym może świadczyć artykuł zamieszczony w 5 nrze „Zeszytów”.

Przyszła wojna, zabór sowiecki, uwięzienie naszego Ojca. Dokąd przebywał w tłumackiej tiumnie, Zbysiu donosił mu obiady w dni, kiedy było to dozwolone. Raz strażnik pozwolił mu pójść do celi Ojca, w której przebywał wraz z innymi tłumaczanami i przez chwilę z nim porozmawiać. Wtedy ostatni raz w swoim życiu widzieli się obydwaj. W domu pomagał Mamie w codziennych zajęciach, przy przeprowadzce do domu pp. Gabańskich, gdy nowe, komunistyczne władze wyrzuciły nas

z dotychczasowego mieszkania, i w jako takim urządzeniu się w nowym miejscu.

Z niego, w tragiczną noc 13. kwietnia 1940 roku, wraz z Mamą i ciotką Zofią, został wywieziony do Kazachstanu. Tam, przez niemal pięć lat wszyscy przebywali w Kustanajskiej obłasti, Pieszkowskim rejonie. Pryczornym posiołku koło Batmanówki, gdzie znajdowała się najbliższa poczta. O ostatecznej nędzy, jaka ich tam ogarnęła, nie mam co pisać. Znana jest ona dobrze tłumaczanom. W nieludzkich warunkach Zbysiu przeszedł mutację głosu. Pozbawiony fachowej opieki woikalnego pedagoga, odpowiedniego wyżywienia, utracił swój piękny głos. Rozwiały się marzenia o zostaniu „Kiepurą”. Do rozpoczęcia wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 r. pisywał do mnie do Lwowa, prosił o rozmaite potrzebne mu rzeczy, również o książki. Paczki, jakie wysyłałem do Batmanówki, docierały na miejsce. Zbysiu pracował w kołchozie, raz na polu, raz w stajni, woził też beczkowitzem wodę. Mimo odbycia, wraz z kolegą, dalekiej wędrówki do punktu, w którym w 1941 r. odbywał się nabór do armii Andersa, nie dostał się do niej z powodu zbyt młodego wieku. Do Polski powrócił jednym z pierwszych transportów. Cała trójka zamieszkała czasowo w Stanisławowie. Dopiero tam Zbysiu zaczął chodzić ponownie do szkoły. Po zaistnieniu możliwości wyjazdu do Nowego Sącza wszyscy przenieśli się do miasta rodziców Mamy. Edukację gimnazjalną brał pobierał w Krakowie i Gdańsku. W Gdańsku też po złożeniu egzaminu maturalnego, studiował na Akademii Medycznej. Po jej ukończeniu osiedlił się w Nowym Sączu i rozpoczął pracę zawodową jako lekarz stomatologii. Ożenił się i miał dwie córki. Udzielał się społecznie, działając w kilku organizacjach, również długie lata jako ławnik sądowy i członek rady parafialnej. Szczególne zasługi położył w Związku Sybiraków będąc prezesem oddziału wojewódzkiego.

Zmarł nagle na rozległy zawał serca w dniu 13 października 1996 r. Pochowany został w grobowcu rodzinnym na cmentarzu komunalnym w Nowym Sączu. □

Powrót (c.d.)

Franciszek Petrus

Rozdział IV

Zaczął się drugi rok nauki.

Kował już utorował sobie drogę, nauka szła mu dobrze i otrzymywał coraz więcej lekcji, które pochłaniały mu cały wolny czas, ale pozwalały równocześnie na gruntowne opanowywanie poszczególnych przedmiotów i na poczynienie pewnych oszczędności, za które można było znowu spędzić gdzieś w górach wakacje. Z radością i pewną dumą czynił wraz z matką zakupy ciepłej bielizny i płaszczy dla całej rodziny u Engelsteina, spłacając je później miesięcznymi ratami.

Zaraz z początkiem roku otrzymał jedną lekcję, która szczególnie wiele sprawiała mu kłopotu.

Uczył młodszego kolegę z pierwszej klasy, którego ojciec Wierszułowski był urzędnikiem w wydziale powiatowym i był zacnym, spokojnym człowiekiem.

Matka Tadzia – tak miał na imię ów uczeń – była kobietą wybitnie nerwową i przy tym bardzo złośliwą. Jej specjalną ambicją było utrzymywanie w lśniącym stanie parkietowych podłóg dużego mieszkania, zajmo-

wanego przez tę rodzinę w swoim własnym domu. Na tym tle dochodziło do ciągłych scysji ze służbą, dziećmi, a nawet z mężem. Przychodząc na lekcję Janek musiał przechodzić upokarzającą kontrolę, polegającą na oglądaniu przez matkę Tadzia butów, czy są starannie wytarte, bo a nuż by podłoga została zabrudzona.

Janek burzył się wewnętrznie, ale nie było ratunku – trzeba się było poddać temu przykreemu rygorowi.

Pewnego razu w czasie lekcji z Tadzim, zauważył przez uchylone drzwi swego ojca, który coś manipulował przy zepsutym zamku drzwi kuchennych.

Naraz zjawiała się pani domu, rzuciła szybkie spojrzenie na ojca Janka, wykrzywiła nieprzyjemnie swą twarz na widok jego ubrania roboczego i dużych, niezgrabnych butów. Zdenerwowanym głosem zapytała, czy nie można by zdjąć tych butów i zostawić je na schodach, bo inaczej diabli wezmą podłogę w kuchni. Janek z zapartym oddechem słuchał jej słów i obserwował ojca, będąc zarazem ciekawym, jak on na to zareaguje.

Ojciec spojrział na panią domu, zapakował do torby swe narzędzia, oświadczył jej, że jest za młoda, by go w ten sposób traktować, po czym uklonił się i wyszedł.

Rozległo się głośnie trzaśnięcie drzwiami, potem do uszu Janka doleciały słowa: „zbuntowany cham” i nim

ochłonął z wrażenia już matka Tadzia wpadła jak furia do pokoju i zachłystując się ze wzburzenia i zdenerwowania, podniesionym głosem zwróciła się do Kowala:

– Wynosić się stąd, dość tego, nie będzie więcej żadnych lekcji.

Janek wstał i skierował się ku wyjściu. Zdążył jeszcze uchwycić swym wzrokiem przerażenie i przygnębienie, jakie odmalowało się na twarzy Tadzia, po czym wolno wyszedł na podwórze, kierując się na ulicę.

Poczuł w głowie szum i taki zamęt, że zdawało mu się, iż lada moment runie na ziemię. Już miał wyjść przez furtkę na ulicę, kiedy w nieznaczonej odległości zobaczył stojącego na chodniku ojca, który patrzył w jego stronę, tak jakby go specjalnie oczekiwał. Janek chciał się cofnąć z powrotem, ale było już za późno.

– Coś szybciej zakończyłeś dziś lekcję – zagadnął go ojciec nie bez pewnej ironii w głosie.

– Tak – odpowiedział Kowal – i jeszcze bardziej poczuł się nieswojo, gdyż był pewny, że ojciec zauważył to, iż chciał cofnąć się sprzed furtki, by uniknąć tego spotkania.

– Widzisz, taki nasz los – powiedział ojciec. Pomiatają nami do woli i czyni to każdy, komu się to tylko podoba. Nie ma się czego garnać do nich, do tej wyższej sfery. To mają być ci lepsi ludzie. Możesz sobie wyobrazić, jak by nas traktowali ci prawdziwi panowie – nie tacy jak ci tu.

– Nie wiadomo – odpowiedział Janek – może ci właśnie panowie z dziada, pradziada, są jednak inni i bardziej kulturalni.

– Oj! synu, synu – odpowiedział z westchnieniem ojciec – dużo jeszcze rzeczy będziesz widział i wiele nauczy cię życie.

Doszli do rynku.

– Chodź! Wstąpmy na chwilę. Weszli do szynku.

Zaraz u wejścia uderzyła Janka nieprzyjemna woń wódki, zmieszana z zapachem śledzi i wszelkiego rodzaju marynat.

Przy długich stołach siedzieli przeważnie licho odziani ludzie, z których jedni już byli mocno podchmieleni, drudzy raczyli się sówicie wódką, prowadząc głośne rozmowy, wzajemnie sobie przerywając i starając się przekrzyknąć jeden drugiego. Twarze tych ludzi były dziwnie powykrzywiane, przy czym niektórzy z siedzących wyglądali tak, jakby byli w gorączce.

Za drewnianymi kratkami, które odgradzały pewną część dużej sali, stały na specjalnych stołkach dość duże kufy z małymi kranami, z których szynkarz, starszy gruby Żyd, też o jakimś tępych obliczu i zamglonym wzroku, co chwila nalewał do blaszanych kwaterek wódkę, roznosząc ją po sali i ustawiając na stołach przed siedzącymi.

Pierwszy raz Janek znalazł się w szynku. Nigdy przedtem nie widział czegoś podobnego. Powietrze było ciężkie i nieznośne.

Ojciec usadowił się w wolnym kącie i kazał podać dwa kieliszki wódki.

– Pij! – odezwał się do syna – to ci zaraz dobrze zrobi. Na nasze zmartwienia nie ma lepszego lekarstwa.

Janek cały był w ognjach. Opanowała go ponadto obawa, że mógłby go tu zobaczyć ktoś ze znajomych, ale nie miał wprost siły sprzeciwić się ojcu i odmówić wypicia podsuniętej wódki.

Porwał szybkim ruchem kieliszek i jednym haustem wypróżnił jego zawartość. Najpierw coś ścisnęło go

w gardle, później zapiekło na moment, a zaraz potem jakieś błogie ciepło rozeszło się po całym ciele i po chwili, mimo płonących policzków i ognia w całej twarzy, zaczął go ogarniać całkowity spokój.

Zdawało mu się, że już dobrze rozumie tych wszystkich, którzy siedzieli tu dokoła stołów i pili, bądź drzemali, uwolnieni na chwilę od swych trosk i zmartwień. Zrozumiał też i swego ojca, który od czasu do czasu też lubił napić się.

Odmówił stanowczo wypicia drugiego kieliszka, pragnąc wyjść jak najprędzej z tego ohydneho miejsca.

Tymczasem ojciec po wypiciu trzech kieliszków już zaczął drzemać.

Janek zapłacił rachunek, ujął ojca silnie pod ramię i wyprowadził go z szynku, błagając w duchu niebiosa, by go ktoś nie zauważył w tej sytuacji.

Rozdział V

Następnego dnia Janek w czasie lekcji był dziwnie przygnębiony i czuł się jakoś nieswojo.

Na ostatniej lekcji, na religii, ksiądz Lapiński po wejściu do klasy odszukał wzrokiem Kowala, przyglądał mu się przez moment, a następnie przywołał go do siebie.

Zbliżając się do katedry od razu wyczuł burzę i domyślał się, o co może chodzić.

– Byleś wczoraj w szynku i piłeś wódkę? Co? – zapytał ksiądz Lapiński głośno, tak by słyszała to cała klasa.

Zapanowała po tym taka cisza, że słychać było, jak uwięziona w oknie mucha tukała się o szybę, bzykając żałośnie.

Janek nie odpowiadał, milczał uporczywie.

Cóż można tu było powiedzieć. Czy mógł ten człowiek, który stał wyprostowany i sztywny jak posąg za katedrą, zrozumieć coś z tego wszystkiego. Postanowił nie odpowiadać.

– Tak postępuje porządny uczeń, gimnazjalista, któremu rodzice powierzają swe dzieci. Czy wiesz, że wylecisz za to z gimnazjum.

Kowal milczał dalej.

– Marsz na miejsce! – usłyszał jakby przez sen.

Odwrócił się wolno, ze spuszczonej oczyma i z wyciągniętą przed siebie bezwiednie ręką, jakby nagle stracił wzrok, dobiegł do swej ławki i usiadł ciężko.

Już drugi raz w ciągu krótkiego czasu nauki usłyszał to twarde, szorstkie słowa – marsz!

W domu przemyślał jeszcze raz wszystko. Ojcu o całym zajściu nic nie powiedział.

Coś zaczynało się w nim kruszyć i rozsypywać. Znalazł się w okrutnej rozterce wewnętrznej.

Jak upiór wśród ciemnej nocy zjawiała się nowa myśl, którą szybko odsunął od siebie, nie dając jej nawet przybrać realnych kształtów. Myśl szaleńcza wprost – wycofać się z gimnazjum, wrócić do pracy, do kuźni.

Nie poszedł dnia tego na żadne lekcje. Wiedział, że nie uniknie pewnych nagabywań i nieprzyjemnych pytań.

Następnego dnia w czasie nauki wezwał go dyrektor do swej kancelarii.

Musiał zatrzymać się na schodach, by stłumić gwałtowne bicie serca. Wiedział, że tu rozstrzygną się jego losy. Zatrzymał się przed drzwiami i stał jak zakłęty, nie mając odwagi zapukać do drzwi.

Usłyszał kroki wewnątrz i nim zdążył zapukać, drzwi otwarły się i w progu stanął dyrektor.

– Dobrze, że jesteś – zwrócił się do niego.

Usiadł w fotelu, po czym wskazał krzesło i głosem łagodnym kazał sobie opowiedzieć dokładnie, jak to było z tym szynkiem.

Janek wahał się z początku, ale zachęcony słowami, od których biło jakieś dziwne ciepło, nie bez pewnego zażenowania opisał to, co zaszło na lekcji u Wierszłowskiego, następnie spotkanie z ojcem, którego chciał wyminąć, gdyż wstyd mu było tego upokorzenia, jakiego dziś doznał wraz z ojcem, no i następnie to udanie się wraz z ojcem do szynku. Tu zawahał się i nie wiedział, czy ma powiedzieć resztę.

– Powiedz Kowal, czy naprawdę piłeś wódkę? – zapytał dyrektor.

– Tak jest panie dyrektorze! Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale zdawało mi się, że ojciec pije na to swoje zmartwienie, to i mnie też po wypiciu będzie mniej to wszystko bolało. Zresztą, co mogłem zrobić. Wiem, że źle zrobiłem.

– A czy piłeś już wódkę kiedyś przedtem?

– Nie, nigdy panie dyrektorze.

– Twój ojciec ma kuźnię, tak?

– Tak! panie dyrektorze.

– A ile rodzeństwa jest u was?

– Ośmiu braci i dwie siostry, panie dyrektorze.

– Czy rodzice mają jakieś pole, ogród, krowę, konia?

– pytał dalej dyrektor i swym uśmiechem zachęcał wprost do tej rozmowy.

– Mają domek drewniany, kawałek ogrodu, dwie i pół morgi pola, konika i krowę, ale mleka jakoś nigdy nie ma u nas.

– A czy z braci ktoś uczy się? – pytał dalej dyrektor.

– Nikt, panie dyrektorze.

– To znaczy, że wszyscy pracują?

– Starsi tak, a młodzi chodzą jeszcze do szkoły ludowej – odpowiedział. Ja też pracowałem na budowie przed pójściem do gimnazjum.

– Powiedz mi prawdę, czy ktoś w domu pije wódkę?
– Poza ojcem, który czasem lubi trochę napić się, nikt!

– A powiedz dlaczego nie odpowiedziałeś na pytanie księdza Lapińskiego.

Janek zaciął się i zamilkł.

– Powiedz, powiedz, ja chciałbym to również wiedzieć.

Wreszcie po chwili milczenia Janek powiedział:

– Książ zapytał mnie tak, by słyszała to cała klasa. Ja, panie dyrektorze, nie wiem dlaczego, ale myślałem, że ksiądz Lapiński tego nigdy nie zrozumie i dlatego wolalem nie mówić.

– Dobrze, możesz mi przyrzec, że nigdy w czasie swej nauki w gimnazjum nie będziesz pił wódki?

– Mogę panie dyrektorze i przyrzekam solennie, że nigdy wódki nie wezmę do ust.

Tu coś stało się naraz, coś dziwnego z Kowalem – łyzy popłynęły mu gorącym strumieniem z oczu, serce zaczęło mu w piersi łomotać gwałtownie, chciał chwycić dyrektora za rękę, by ucałować tę ojcowską dłoń, za ten błogi spokój, jaki na niego sprowadził, za to zaufanie i za tę wiarę, jaką potrafił w nim w ciągu tej rozmowy obudzić. Dyrektor nie pozwolił mu jednak tego uczynić, cofnął rękę, poczym przycisnął mocno Kowala do swej piersi.

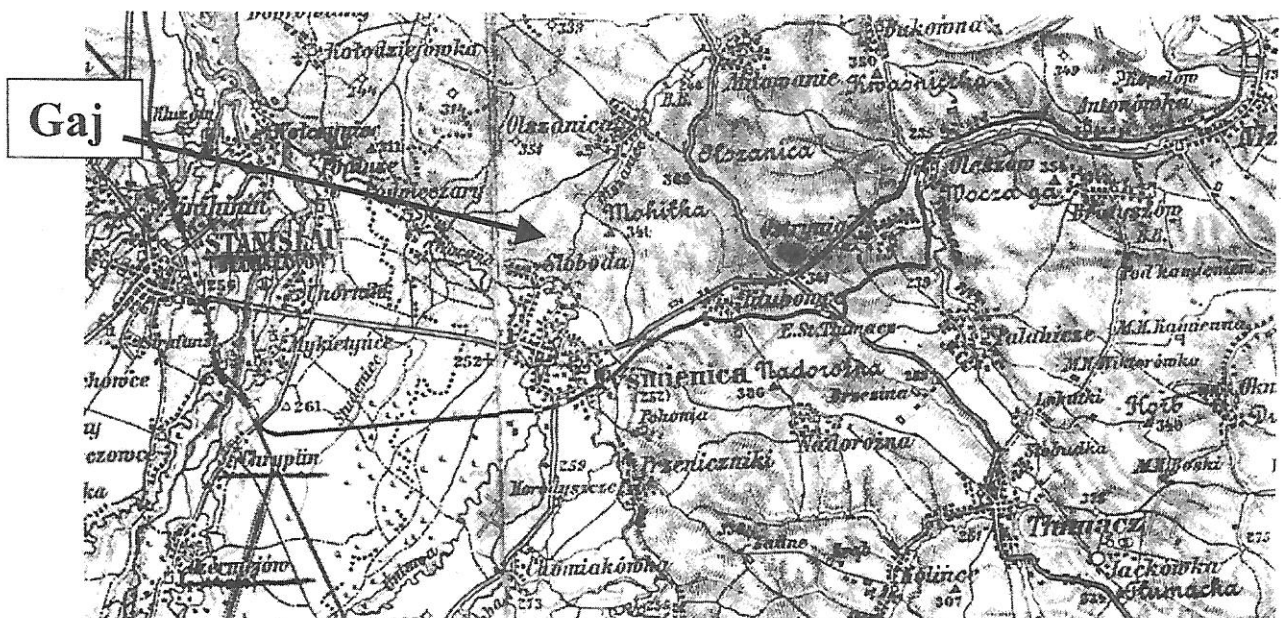
– No dobrze Jasiu! Idź teraz do klasy, ucz się, dalej pilnie, lekcji swych nie przerywaj, a ja resztę załatwię. Położył mu rękę na ramieniu, odprowadził do drzwi, uśmiechnął się, skinął głową i wrócił do swego gabinetu.

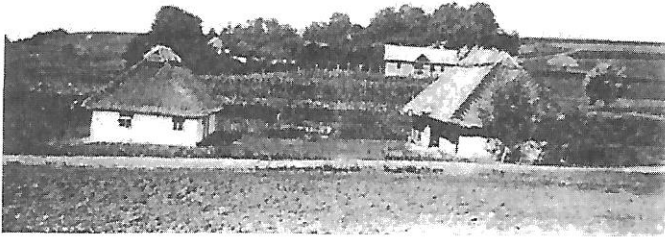
(c.d.n.)

Tłumacz w latach wojennych 1939-1945

Rabunek w Gaju (I)

Stanisław Fudali





*Widok na Gaj, ukryty w drzewach sadu (widoczny jest spichlerz za stajnią)
Na pierwszym planie widać zabudowania Władzia,
nieco dalej domek dla furmanów.*

Z Tłumacza przez Klubowce i Tyśmienicę do Stanisławowa wiodła szosa – utwardzona tłuczniem droga, z rowami wykopanymi po obu jej stronach, i z nieodłącznymi wybojami. Przy końcu zabudowań w Tyśmienicy stała po prawej stronie figura św. Jana, otoczona jakimś zagrodzeniem (chyba żelaznymi sztachetkami). Obok tej figury, wiodła na północ wiejska ulica wśród zabudowań, prostopadła do szosy, która już za mostem na Woronie stawała się drogą prowadzącą do Olszanicy i Miłowania, które leżało przy szosie wiodącej z Tłumacza przez Klubowce i Jezupol do Halicza. Na lewo zaraz za Woroną leżała wieś Słoboda, a droga pięła się pod górę na kończące się pasmo wzgórz Wolczyniec-kich, pod którymi płynęła Worona. Blisko kulminacji tych wyniosłości, na lewo od drogi na Olszanicę, była dróżka prowadząca do Gaju; oficjalnie była to ul. Olszaniczka 131 w Tyśmienicy.

Gaj był resztówką z dużego niegdyś folwarku, którą w 1907 roku kupił mój Dziadek, Antoni Jan Dziejziniewicz, ojciec mojej Matki. Całość tej resztówki – a były w niej pola orne, łąka nad Woroną i sad owocowy przy zabudowaniach gospodarczych – zajmowała 35 ha, w kilku kawałkach. Mieszkając w Stanisławowie, wakacyjne miesiące spędzałem przeważnie w Gaju. Spędziłem tam również – wówczas niespełna 10-latek – ostatnie przedwojenne wakacje, a także powakacyjne dwa tygodnie we wrześniu 1939. Szkoła bowiem była wtedy zamknięta, a Ojciec 8 września wyprawił nas – mnie, młodszego mego brata Jaśka i mego stryjecznego brata Dziunka – wraz z Matką do Gaju, bo tam bezpieczniej, bombardować nie będą. Korzystaliśmy więc z Dziunkiem z przedłużonych wakacji, nie bardzo się przejmując realiami codziennymi. Wiedzieliśmy niezbcie, iż wojnę z Niemcami musimy wygrać, bo z nami była Francja i Anglia, a w mieście na każdym kroku wisały przekonujące plakaty: Silni, zwarczi, gotowi. O bolszewikach starsi mówili już od czterech dni, że wchodzą, ale nikt nie wiedział w jakim charakterze – o pomoc ich Polska nie prosiła, wojny z nimi nie zaczynała ...

W czwartek, 21 września, Dziadzio z rana pojechał do Tyśmienicy odebrać pieniądze za świnie sprzedane dzień czy dwa dni wcześniej, ale gdy kończyliśmy jeść śniadanie przyszli do Gaju dwaj mężczyźni w polskich mundurach wojskowych, prosili o jakieś cywilne ubrania, mówili, że oddział ich został rozbitý przez bolszewików pod Niżniowem, a oni przedzierają się w swoje strony, na Kielecczynę bodajże. Nietrudno było domyślić się,

że owi rozbitkowie najwyczejniej w świecie zdezerterowali, bo nie szukali jakiegoś zwartego oddziału lecz cywilnych ubrań, ale w tych dniach totalnej klęski i bezholowia mało kto jeszcze stał na straży patriotycznych ideałów. Z opowiadania ich powiało jednak grozą, cywilnych ubrań nie dostali, bo były to chłopcy na schwał, zaś Dziadzio Dziejziniewicz był dość szczupły i w jego ubranie żaden z nich nie mógł się wcisnąć. Dostali jedynie jakieś wierzchnie odzienie, sweter czy kurtkę, i w nich oraz w spodniach wojskowych poszli; jeden z nich, starszy, miał lzy w oczach, gdy odchodząc patrzył na nas smarkaczy.

Po śniadaniu pokręciliśmy się z Dziunkiem, jak zwykle po podwórzu, a potem poszli do wozowni, bo poprzedniego dnia postanowiliśmy zrobić dobry uczynek – pomóc Prababci Traczowej w obieraniu kolb kukurydzy; robiła to sama i nie szło jej sprawnie, gdyż ręce miała już spracowane i stare. Weszliśmy dziurą do środka, przez odstającą deskę, bo drzwi były zamknięte na kłódkę, i zaczęliśmy pracować. W jakiś czas potem przyszła prababcia, otworzyła drzwi, najpierw się przestraszyła, że ktoś w środku siedzi, a potem ucieszyła, bo trochę roboty już ubyło, usiadła obok nas i od czasu do czasu coś opowiadała, co niezbyt trafiało do naszej wyobraźni.

Około dziesiątej wrócił z miasta Dziadzio, przyniósł pieniądze, coś około 135 zł, i dał je Mamie na przechowanie „bo nie wiadomo co będzie” – opowiadał, że w Tyśmienicy oczekiwani są już Moskale (mówił „Moskale” a nie „bolszewicy” – chyba z przyzwyczajenia lub raczej wspomnienia do zdarzeń z tamtej, tzn. I światowej, wojny), jeszcze ich nie ma, ale panuje porządek, nic szczególnego się nie dzieje. Mama przygotowała mu śniadanie, ale jeszcze go nie skończył jeść, gdy od strony podwórza dało się słyszeć człapanie końskich kopyt i Mama pomyślała, iż coś to zbyt wcześnie Hryć z pola prowadzi konie do pojenia. Ale nie był to Hryć, a konie nie były dziadkowe.

Parę minut wcześniej podobne człapanie usłyszeliśmy w wozowni i może nie tyle z ciekawości, co ze znużenia pracą wyszedłem na podwórze. Na wysokości nowej stodoły zobaczyłem czterech konnych żołnierzy w obcych mundurach i z zaciekawieniem, zupełnie bez bojaźni przyglądałem się obcym. Jechali konno wolnym krokiem, gęsiego jeden za drugim, przy koniu pierwszego szedł jakiś chłop miejscowy, raczej nie roboczo przyodziany (było w tym dniu jakieś rusińskie święto), w dość przyzwoitym kapeluszu na głowie, a za ostatnim konnym waliło kilkunastu wieśniaków płci obojga. Jadący na przedzie zrównał się ze mną i nie zatrzymując konia zapytał: Chaziain doma?, ale ja nie zrozumiałem pytania, nigdy takich wyrazów nie słyszałem; idący obok konia chłop coś powiedział wojskowemu, ale tego nie dosłyszałem, a na pewno nie zrozumiałem. Wydawało mi się, że obcy żołnierz pyta, gdzie znajduje się dom – skinąłem więc ręką w stronę domu mieszkalnego mówiąc: Tam!; w tamtą stronę pojechali żołnierze i za nimi pociągnęło chłopstwo, którego było coraz więcej. Nawet trochę się zdziwiłem, że tutejsi chłopcy nie wiedzą, gdzie jest dom w Gaju. Dość obojętnie wróciłem do wozowni, do dalszego czyszczenia kukurydzy, a na pytanie prababci o to co tam było, powiedziałem, że przyjechali jacyś żołnierze a za nimi chłopcy. Za około

pół godziny zjawili się nowych czterech konnych żołnierzy, a za nimi walił już tłum chłopski – mężczyźni i kobiety, wyrostki i starsi wiekiem – jak się później okazało, nie tylko ze Słobody, ale i z dwóch pobliskich wsi: Olszanicy i Miłowania; podobno byli wśród nich także chłopi z odległych Mykietyniec. Ci już o nic nie pytali, kierując się wprost w stronę domu.

Nie pamiętam dokładnie, jak to się stało, że prababcia przestała splatać kukurydzę i wyszła z wozowni; widocznie wyczuwała, że z tego gromadzenia się obcych ludzi nic dobrego być nie może. W niedługim czasie po prababci wyszliśmy z Dziunkiem z wozowni na gumno, ale nie poszliśmy w stronę domu, który stał za ogrodem kwiatowym i przed pasieką. Usiedliśmy na dyszlisku kieratu i coś tam opowiadaliśmy sobie, spoglądając na to co się dzieje na gumnie i zupełnie tego nie rozumiejąc; nasza dziecięca wyobraźnia nie była w stanie przedstawić sobie koszmaru, jaki już się rozpoczęła, a którego absolutnie nie wyczuwaliśmy. Ze stajni bowiem, to było widać od strony kieratu, obcy ludzie wyprowadzali krowy i cielęta, z chlewu pędzili kwiczące świnię, uwiązane sznurkiem lub rzemieniem do nogi. Na drzewach w sadzie siedzieli nieznani nam ludzie i rwali bądź otrząsali jabłka, a na dole inni pospiesznie zbierali je do worków, do zadartej koszuli bądź spódnicy i wynosili, wynosili, wynosili ...

Patrzyliśmy na to zupełnie obojętnie, kompletnie nie rozumiejąc co się dzieje; na nas, siedzących na dyszlisku kieratu, nikt nie zwracał uwagi; chyba dlatego nie odczuwaliśmy przerażenia gdyż nie rozumieliśmy sytuacji. Gwar ogromnej liczby poruszających się w pośpiechu ludzi, pojedyncze głośniejsze wykrzykiwania i ten ciągły nieustający ruch – w stronę domu i w stronę przeciwną niezliczonej liczby ludzi – działał na nas chyba hipnotyzująco; zastanawiające, że nie odczuwaliśmy żadnego strachu, nie wyczuwaliśmy, że można bądź że trzeba się czegoś lub kogoś bać.

W pewnym momencie, w pół godziny lub po trzech kwadransach od czasu pojawienia się pierwszej grupy żołnierzy, rozległy się 2 lub 3 strzały od strony domu mieszkalnego. To nas zaciekawiło, może nawet zaintrygowało, ale niczego złowrogiego nie przypuszczaliśmy. Poszliśmy w tamtą stronę. Nie pamiętam, czy Dziunek doszedł razem ze mną, bo od momentu przyścia na podwórko straciłem go z oczu i ze świadomości, gdyż znalazłem się w wirze niebываłych dla mnie zdarzeń, a oczom moim ukazał się obraz jakiego nigdy nie widziałem i nawet sobie nie wyobrażałem. Przed drzwiami wejściowymi do domu zobaczyłem na podwórku rojący się tłum chłopski – bez przerwy ktoś wchodził do domu, ktoś wychodził stamtąd coś wynosząc; konie przybyłych żołnierzy stały na środku podwórza, przy nich dwóch lub trzech żołnierzy, reszta we wnętrzu domu. Nie zauważyłem w tej kotłowaniu nikogo z domowników – Mamy, Babcia, Dziadzia; z ciekawości wszedłem do wnętrza, bo nigdy takiego ruchu tu nie widziałem.

Dom był zatłoczony ludźmi, pełno ich było w kuchni, pełno w pokojach – krążyli po pokojach, coś brali i wsadzali za pazuchy idąc dalej, w zasadzie popychani przez innych. Na podłodze w pokoju dziadków (na lewo zaraz przy kuchni) walały się jakieś papiery, szafy były pootwierane i ziały prawie pustką, łózka jesz-

cze stały, ale pierzyn i poduszek już na nich nie było, szuflady z komody na wpół wyciągnięte, z jednej zwisały jakieś rozciągnięte szmaty, może to była bielizna ... Na szafach, gdzie przedtem stały rozmaite butle z winem bądź z sokami, było prawie pusto, koło szaf porozlewana ich zawartość. Gdy popychany przez innych znalazłem się w tym pokoju, przy oknie stał żołnierz przechylający gąsiorek i wlewający do gardła jego zawartość – potem coś powiedział niezrozumiałego i grzmotnął gąsiorkiem o podłogę; zadźwięczało, chlapnęło, a krasnoarmiejec potoczył się dalej ... Wciśnięty ciżbą do jadalni zdążyłem zauważyć kredens pozbawiony zastawy szklanej i porcelanowej, zięjący ciemną pustką swojego wnętrza. Na stojącym obok „pomocniku” sterczały kikuty porcelanowych (a może fajansowych?) figurek, które zwykle tam stały – jakaś gęsiarka z koszykiem siedząca na pniu, pastuszek z fujarką itp., jakie Babcia Zosia skądś przywiozła jako pamiątki i których mi nawet dotykać nie było wolno. Obok poniewierały się pogruchothane ich szczątki, spora część tego walała się na podłodze, wśród nich główka pastuszka, jeszcze nie rozdeptana.

Patrzyłem na to wszystko jak ogłuszony – to wszystko nie mieściło się w mojej niedoświadczonej głowie. Niepojęte było, że jeszcze niedawno, parę dni temu, ci sami ludzie, może nie wszyscy – i na pewno nie wszyscy! – ale spora ich część, wchodzili zaledwie do pokoju dziadków po odbiór należności za pracę, wchodzili z uszanowaniem, jakby z pewnym zawstyżeniem, a do jadalni chyba nigdy nie wchodzili. Teraz zaś bez skrępowania stąpała po tych pomieszczeniach cała ciżba, wyciągała coś z szuflad i wciskała za pazuchę lub w zapaskę, albo z dezaprobatą rzucała na podłogę. Jak w śnie, strasznym śnie, który czyni człowieka bezwolnym, popychany przez ciżbę stąpałem po różnych rozciągniętych rzeczach, rozrzuconych papierach, pogniecionych skorupach nie tylko figurek fajansowych, patrzyłem na to wszystko i w myśli czyniłem Babcia wyrzuty za to, że nie pozwalała mi bawić się tymi pamiątkowymi figurkami, abym nie uszkodził, a teraz – co ci obcy ludzie z nimi zrobili, co?!

Popychany obszedłem wszystkie pokoje – wszystkie już były obrabowane. W niektórych (pokój pradziadków na prawo od kuchni, i zaraz następny po nim) pootwierane były okna, przez które wchodzili bądź wychodzili ludzie; nie wszyscy coś brali, bo już w zasadzie nie było co zabierać, a niektórzy – być może – chodzili tylko popatrzeć. Po jakimś czasie znowu znalazłem się w kuchni, a tam natknąłem się na pijanego krasnoarmiejca, który widocznie zlaźł ze strychu, bo trzymał w ręku plik banknotów marek polskich z czasów wielkiej inflacji, o jakich wiedziałem, że były wetknięte za deskę podtrzymującą dach, i pytał, czy to są „diejstwielińje dieńgi”. Nie rozumiałem go zupełnie, tylko wyraz dieńgi, przez swoją dźwięczność, wpadł mi w ucho, ale domyśliłem się o co pyta – czy to dobre pieniądze – bo w tej sytuacji o nic innego nie można było pytać; krasnoarmiejec nie wyglądał na kolekcjonera starych banknotów ..., i ja go za takiego na pewno nie uważałem. Odpowiedziałem, kręcąc przecząco głową i czyniąc odpowiednie gesty rękoma, że to są stare pieniądze i niczego za nie kupić nie można. Chyba mi nie uwierzył, albo nie zrozumiał, bo wyrzucił z siebie Job

twoju mat', co mi z łatwością wpadło w ucho, bo już to słyszałem u innego (a może tego samego, bo nie próbowałem ich rozróżnić), gdy gąsiorkiem walił o podłogę, i coś jeszcze, czego nie wychwyciłem, ale pieniądże dalej trzymał w garści i niepewnym krokiem przepychał się ku wyjściu; mnie popchnięto za nim.

W sieni, tuż przy drzwiach zewnętrznych, jakiś chłop w wypuszczonej na spodnie białej koszuli, podpasanej jakąś czerwoną lub bordową wstęgą, chwycił mnie za rękę i wyciągnął na podwórze, ciągnąc do jednego z krasnoarmiejców, może ich komendanta, który do urody swojego konia przypinał dziadkowe odznaczenia – austriackie i polskie, wśród nich Srebrny Krzyż Zasługi, który Dziadzio otrzymał stosunkowo niedawno i z którego był dumny, co nawet ja odczułem. Gdy zbliżyliśmy się, powiedział po rusińsku: *Ce toże panskyj*, a upinający dziadziowe krzyże spojrział w moją stronę, nie przerywając sobie, coś burknął i chłop mnie pociągnął w kierunku stołu pod ścianą domu, przy którym zwykle jadał obiad wynajęci do pracy w polu robotnicy. Dopiero wtedy zauważyłem, że na ławce przy tym stole siedzi Prababcia i Babcia, a na skraju – Jasiek; ciągnący mnie chłop wcisnął mnie na ławkę między Babcią i Jaśką. Zastrachany, skołowany zupełnie posłusznie usiadłem wcale nie zdając sobie sprawy z tego, dlaczego tak się dzieje, co może być później.

Wyczuwałem podświadomie, że dzieje się coś niedobrego, ale stopień zła przerastał możliwości mojej wyobraźni. Nie umiałem tego, co oglądałem, czego byłem świadkiem i bezwolnym uczestnikiem, skojarzyć

z czymkolwiek, co byłoby mi znane – z opowiadań, z przeczytanych książek czy skądinąd. Byłem zupełnie oślepiały, nie doznawałem żadnych innych odczuć, oprócz bezgranicznego zdumienia nie pozwalającego ogarnąć sytuacji swoim niespełna 10-letnim rozumem. Byłem tak oślepiały, że nawet uczucie strachu (ani odwagi!) nie miało do mnie przystępu – nie bałem się, ale i nie zdawałem sobie sprawy z tego, że się nie boję (bo nie wyobrażałem sobie ewentualnego ciągu dalszego).

Nie doznawałem poczucia krzywdy, gdyż wszystko co działo się wokół mnie, było mi obojętne – ja tego wszystkiego kompletnie nie rozumiałem. Nie przychodziło mi na myśl pytanie – *Co będzie dalej?*, *Co stanie się z nami?* Zupełnie nie rozumiałem grozy sytuacji. Nie pomyślałem, i nie umiałbym pomyśleć o tym, że na tej oto ławeczce siedzimy po to, aby nas jednego po drugim powystrzelać. Wszystko to, co wokół mnie się działo, jawiło mi się jak jakiś koszmarny sen, którego elementy nie były mi obce, z którymi czułem się jakoś związany, ale w którym to śnie nie uczestniczyłem. Tak jakby to nie był mój sen, lecz kogoś innego, a ja tylko ten cudzy sen podglądałem. Takie całkowite otępienie. Mój umysł nie był w stanie tego wszystkiego ogarnąć a świadomość nie umiała tego sobie przyswoić. Tak dla porządku, jakby od niechcienia zapytałem Babcię, gdzie jest Mama – Nie wiem, odpowiedziała, kazali jej iść do sadu. To mi wystarczyło. Nawet nie przyszło mi do głowy, że w sadzie może Mamie coś się stać.

(c.d.n.)

Cmentarz w Lenino

Jean Stimm

W 1998 roku powstał cmentarz żołnierzy polskich, którzy zginęli pod Lenino. Cmentarz ten znajduje się pod opieką Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Wydawałoby się, że apel ks. St. Drygały z artykułu „Lenino – zapomniana nekropolia polskich żołnierzy” zamieszczony we Wrocławskiej Gazecie Polskiej (październik, 2001 r.), którego częściowy przedruk znalazł się również w numerze 3 (23) „Zeszytów Tłumackich” jest bezpodstawny, ale i mnie się wydaje, że pamiętać o tym cmentarzu wraca tylko przy okazji wielkich jubileuszów walk żołnierza polskiego poza granicami Rzeczypospolitej.

W dniach 12-14 października 1943 roku na terenach pod Lenino zginęli od śmiertelnych ran polscy patrioci, którzy walczyli za wolność naszą i waszą. Czy należy się im zapomnienie dlatego, że walczyli wspólnie z Armią sowiecką? Większość z nich nie miała z komunizmem nic wspólnego. Zaciągnęli się do Wojska Polskiego ochotniczo, aby bić się z wrogiem, który okupował Polskę i za nią ginęli. Pozostało jednak w złośliwej pamięci, że 1 Dywizja im. Tadeusza Kościuszki była załącznikiem wojska P.R.L. Zapewne to powoduje, że ich groby traktuje się po macoszemu.

Tych, co oddali swoje życie za Polskę walcząc pod Lenino było 496. Zostali pochowani we wspól-

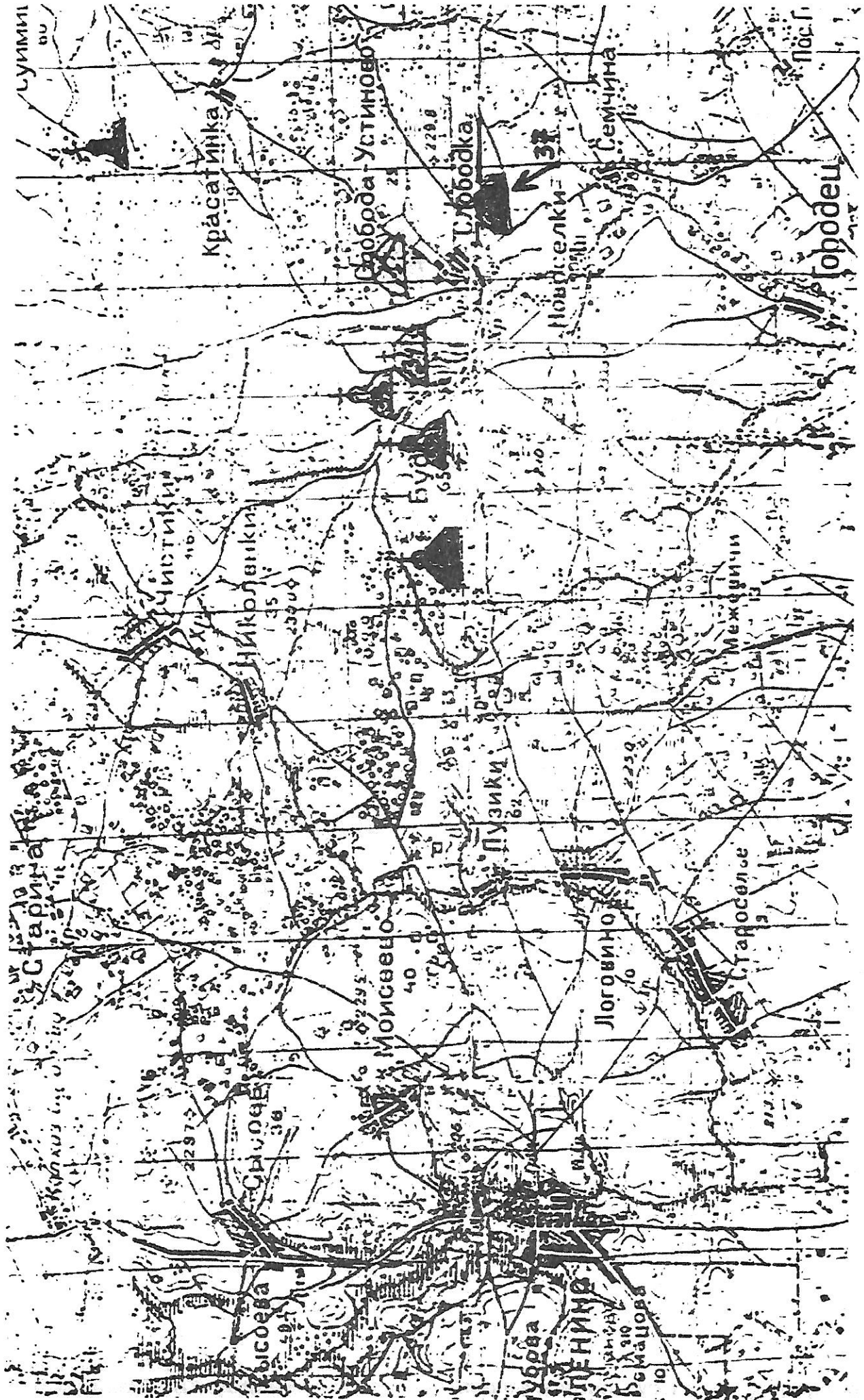


Pomnik poległych żołnierzy polskich pod Lenino powstał w 1998 r.

nych mogiłach w niedalekiej odległości od pola walki. Tam też spoczywał mój brat Ryszard Arnold – 18-to letni dowódca plutonu sanitarnego, który ratowanie innych przyplacił własnym życiem. Piśzę spoczywał, gdyż z pierwotnych mogił, poległych przeniesiono (na ogólnikowy rozkaz Stalina) do innych na cmentarzu, po którym dzisiaj śladu nie ma. Wybudowano Mauzoleum i 2 pomniki, z których jeden przeniesiono w 1989 roku na „nowy” cmentarz.

Kiedy starałem się odtworzyć historię krótkiego, wojskowego życia mego brata, natknąłem się na mapkę pierwotnych pochówków, na informację

(Ciąg dalszy na str. 12)



Pierwotne pochówki żołnierzy polskich pod Lenino

(Ciąg dalszy ze str. 10)

o tym w jakich warunkach i gdzie te mogły się znajdowały, na opisy i wreszcie na zdjęcia z uroczystości otwarcia „nowego” cmentarza. Może to zainteresować rodziny poległych więc kilkoma z tych dokumentów dzielę się z czytelnikami „Zeszytów Tłumackich”.

Pamięć o naszych bliskich, żołnierzach poległych pod Lenino, jest jednak żywa. Kilka lat temu, na cmentarzu wojskowym na Powązkach w Warszawie, odsłonięto piękny pomnik, który jest szanowany przez odwiedzających i harcerzy, którzy się nim opiekują. Mogą świadczyć o tym stale składane kwiaty, zapalone znicze i okolicznościowe warty harcerskie. Za ich przykładem powinno się dbać również o cmentarz w Lenino.



Pomnik na Powązkach w Warszawie poświęcony 496 żołnierzom polskim poległym pod Lenino

Kościół pw. św. Anny – tłumaccy księża

Ks. Mikołaj Witkowski w moich wspomnieniach z Tłumacza (zakończenie)

Ks. Lesław Jeżowski

Sily fizyczne Księża mimo podeszłego wieku

Tak, jak do końca lat nie opuszczała ks. Witkowskiego sprawność umysłowa, również służyły Mu sily fizyczne.

Z zapalem uprawiał ogród należący do mieszkania, które zajmował. Raz zastałem Go pochylonego nad rabatą i wrywającego chwasty. Nie usiadł przy tej pracy, nie ukląkł, nie przykucnął nawet. Nogi miał wyprostowane w kolanach i zgięty w pół, z głową blisko ziemi oddawał się swojemu zajęciu. Radziłem, aby zmienił pozycję, przecież to niebezpiecznie tak się pochylać, może mu pęknąć w głowie jakieś naczynie krwionośne. Ale Ksiądz odparł, że zawsze tak się nachyla i nic Mu się nie dzieje.

Jeszcze kilka lat przed swoim zgonem sam wnosił na podwórze duże, ciężkie dywany i własnoręcznie je trzepał.

Gdy podziwiałem Jego sily, z uśmiechem mówił, że jakoś Pan Bóg Mu je daje i tak długo trzyma Go na świecie.

Troska o obraz M. B. Mariampolskiej i relikwie św. Wiktora

Wyjeżdżając z Mariampola, jako administrator parafii ks. Witkowski zabrał szereg przedmiotów, które znajdowały się w tamtejszym kościele i plebanii. W jego wrocławskim mieszkaniu wisiły portrety Jabłonowskich, dawnych właścicieli Mariampola, znajdowały się stare wydawnictwa. Prawdziwym skarbem był obraz Matki Bożej, który dawniej, w Głubczycach, ksiądz przechowywał w swoim pokoju, a we Wrocławiu oddał go do kościoła NMP na Piasku, gdy ten został odbudowany. Raz do roku urządzał przy nim spotkanie dawnych parafian mariampolskich, coś w rodzaju odpustu. Zawsze zachwycający się jego artystycznym pięknem poddał

obraz badaniom historyków sztuki, którzy na piśmie wydali o nim swój opinię. Ksiądz sporządził również fotografie obrazu w różnych rozmiarach i obdarowywał nimi swoich znajomych i czcicieli Matki Boskiej w tym obrazie.



Obraz Matki Boskiej Mariampolskiej wnosito do kościoła NMP na Piasku czterech biskupów; jednym z nich był Karol Wojtyła.

(Przedruk fragm. artykułu Teresy Bondarewicz pt. *Ma-donny przyjechały na Zachód* z: *Słowo Polskie* z dn. 24-26. 12. 1999 r.)

Gdyby nie to, że ostatni proboszcz Mariampola, ks. Mikołaj Witkowski, uważał się za stróża obrazu *Matki Bożej* zwanej *Zwycięską*, pewnie tego XVI-wiecznego dzieła namalowanego na płótnie przez artystę ze szkoły *Rafaela* nie podziwialibyśmy dzisiaj we wrocławskim kościele *Najświętszej Marii Panny na Piasku* – twierdzi *Tadeusz Kukiz*. – *Proboszcz* w pierw w czasie przymusowego wysiedlenia ludności zabrał mariampolski obraz do *Głubczyc*, a potem – mimo protestów wiernych – przywiózł go do *Wrocławia*, gdy został wykładowcą w *Seminarium Duchownym*.

2 września 1965 r. obraz został uroczystie intronizowany w obecności prymasa *Stefana Wyszyńskiego* w kościele *NMP na Piasku*. Niosło go na ramionach czterech biskupów; jednym z nich był *Karol Wojtyła*. 10 września 1989 r. za zgodą papieża obraz *Matki Bożej Mariampolskiej* został koronowany. Co roku w drugą niedzielę września odbywają się przy nim spotkania pielgrzymkowe mariampolan z różnych rejonów Polski.

Pieśń do Matki Boskiej Zwycięskiej

*Matko Boska Mariampolska,
Co od wieków nam hetmanisz,
I w potrzebie polskie wojska
wiodłaś w bój, Zwycięska Pani;
W swą opiekę weź i nas
W nowej walki trudny czas,
Daj zwyciężyć wroga dusz
I potęgę piekła skrusz!*

*Matko Boska zadumana
Nad twych dzieci trudnym losem,
Wstaw za nami się u Pana,
Swym skutecznym Matki głosem!
A my Ciebie z głębi serc
Będziem wielbić, wiary strzec,
I na co dzień życiem swym
Śpiewać Ci wdzięczności hymn.*

*Matko Boska, która scalasz
Dawne z nowym, wschód z zachodem,
Nas, tonących w nieszczęść falach
Uczyniłaś swym narodem.
I choć w nas uderza grom,
Chronisz nas opieką swą,
Daj kłęczącym u Twych stóp
Wyjść zwycięsko z wszelkich prób!*

Drugim przywiezionym z *Mariampola* skarbem była trumna z prochami św. *Wiktora* niegdyś przywieziona, podobno, przez któregoś *Jabłonowskiego*, z *Rzymu* do *Mariampola*. *Ksiądz* postarał się o przebadanie szczątków przez specjalistów antropologów i przechowywał protokół z dokonanej przez nich ekspertyzy. Trumna znajdowała się w katedrze wrocławskiej. Później usunięto ją stamtąd, nad czym *Ksiądz* bardzo ubolewał.

Kontakty z dawnymi wychowankami tłumackiego gimnazjum

Niewielu dawnych uczniów *Księdza* z *Tłumacza* pamiętało o Nim w *Głubczycach* i *Wrocławiu*, ale nie brakowało takich, którzy regularnie pisali do Niego i odwiedzali Go. Bardzo się nimi cieszył, interesował ich rodzinami, pamiętał wiele szczegółów z ich szkolnych lat.

Absolwenci gimnazjum w *Tłumaczu* urządzają od czasu do czasu swoje zjazdy. Zapraszano na nie *Księ-*

dza i *On*, o ile tylko mógł, chętnie brał w nich udział. Z przyjemnością opowiadał mi potem, kogo spotkał na takim zjeździe, powtarzał nowości, o których tam się dowiedział.

Nigdy nie żalił się na byłych swoich uczniów, którzy byli Mu szczególnie drodzy, a mimo to jakby zapomnieli o Nim. Ale z pewnych sformułowań podczas naszych rozmów wywnioskowałem, że ich niepamięć sprawia Mu przykrość. Modlił się zawsze za wszystkich, których był wychowawcą. Często nie odpisywał na listy, które otrzymywał. To milczenie zrażało do *Księdza* Jego wychowanków, nasuwało myśli, że nie pragnie podtrzymywania z nimi kontaktów.

Ostatnia choroba

W 1975 r. na wiosnę *Ksiądz* zachorował. Na grypę. Choroba bardzo Go wyczerpała. Bezwładnie leżał w łóżku, niezdolny do jakiegokolwiek samodzielnego ruchu. Zdecydowanie odmawiał przyjmowania wszelkich pokarmów. I tak już bardzo szczupły, teraz całkowicie wyschł. Dosłownie – skóra i kość. Zdawało mi się, że z tej choroby już nie wyjdzie, a ona ciągnęła się tygodniami. Tymczasem dzięki dobrej opiece i silnemu organizmowi pokonał ją. Gdy mógł już siadać, zaczął u siebie w pokoju odprawiać *Mszę św.* przy pomocy kleryka, który przychodził do Niego z pobliskiego *Seminarium*. Przy tym sposobie celebrowania pozostał już, nawet gdy Mu się zupełnie polepszyło.

Moje ostatnie odwiedziny u Księdza

Ostatni raz widziałem się z ks. *Witkowskim* w czerwcu 1977 r. Leżał na hamaku w swoim ogrodzie, który tak lubił. Opalony był na brąz. Przypomniałem Mu Jego błąd podczas choroby. Jaka korzystna zmiana! Uśmiechnął się tylko w odpowiedzi. Rozmawialiśmy, jak zwykle, długo i o wszystkim. Mimo iż pamiętałem o wieku *Księdza*, wydawało mi się, że śmierć jest od Niego jeszcze daleko. Nie przypuszczałem, gdy swoim zwyczajem wyprowadził mnie przy pożegnaniu na ulicę, że widzę Go ostatni raz. Prosił, abym Go odwiedził, gdy przyjadę znowu do *Wrocławia* po wakacjach.

– Oczywiście, zapewniałem.

Śmierć i pogrzeb

Tymczasem w październiku mogłem pójść tylko na grób *Księdza*. Zmarł we wrześniu. O Jego zgonie dowiedziałem się późno. Dwa tygodnie po pogrzebie.

Od rodziny *Księdza* dowiedziałem się, że zgon poprzedziło kilkudniowe osłabienie. Zasnął na wieki spokojnie, w nocy, przy czuwających krewnych.

Uroczystości żałobne odbyły się w katedrze, w pobliżu której mieszkał i gdzie do czasu ostatniej choroby codziennie celebrował. Podczas *Mszy św.* odprawianej przez abpa wrocławskiego *H. Gulbinowicza*, kazanie wygłosił ks. *Bolek* zajmujący się w diecezji opieką nad kapłanami-emerytami. Obrzędem na cmentarzu przewodniczył ks. arcybiskup, który również przemówił. Pożegnał *Zmarłego* w imieniu Jego uczniów. Jedyne kapłan spośród Jego wychowanków tłumackich obecny na pogrzebie – ks. *B. Biliński*, proboszcz z *Komprachcic k. Opola*. W pogrzebie wzięli udział i złożyli wieńce również klerycy *Seminarium Duchownego*.

Grób ks. *Witkowskiego* znajduje się na cmentarzu przy ul. *Bujwida*, przy jednej ze znaczniejszych alei prowadzącej od wejścia cmentarnego, w pobliżu grobowców biskupów sufraganów wrocławskich. □

Ksiądz Józef Lisowski (1912-1995)

Ks. Stanisław Turkowski

Zasługą niezaprzeczną Redakcji *Zeszytów Tłumackich* jest to, że łamy tego pisma udostępnia wielu autorom dla przekazania wspomnień o ludziach pochodzących z tego kresowego miasta, a którzy swoją postawą i działalnością społeczną i narodową zaznaczyli głęboki ślad, podnosząc w ten sposób kulturową i intelektualną rangę środowiska, jakie ich zrodziło. Byli bowiem dziećmi epoki, która już minęła, ale wydarzenia oraz twórczość tychże osób mają swój wpływ na teraźniejszość, która karmi się osiągnięciami przeszłości, również i jej porażkami, co z kolei odbije się jakimś echem w przyszłości. Taka jest bowiem prawidłowość dziejowa. Młodsze pokolenia, którym Opatrzność oszczędziła wielu dramatów, jakie były udziałem starszych, zwłaszcza na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej, będą mogły lepiej rozumieć niektóre problemy dzięki tym właśnie wspomnieniom, jakie udało się utrwalić choćby tylko w ogólnych zarysach.

Każda, choćby najskromniejsza notatka, o kolejnym odejściu kogoś z dawnych Tłumaczan budzi zawsze poważne refleksje o nieuchronnym przemianach, pobudza naszą pamięć i skłania do rozmaitych skojarzeń. Tak stało się też wtedy, gdy wziąłem do ręki ostatni (4(24)/2001) numer *Zeszytów Tłumackich* i w rubryce „Odeszli” znalazłem wiadomość o zgonie śp. ks. Jana Lisowskiego urodzonego w Tłumaczu, a zmarłego 25.11.2001 r. w Stanach Zjednoczonych. Informacja powyższa nasunęła mi myśl, by przekazać kilka szczegółów z życia jego starszego brata, również kapłana, z którym danym mi było przez szereg lat po ekspatriacji z archidiecezji lwowskiej współpracować na polu katechizacji i duszpasterstwa młodzieży na Dolnym Śląsku.

Ksiądz Józef Lisowski urodził się w Tłumaczu dnia 1 stycznia 1912 r.

Szkołę powszechną, gdyż tak się wówczas nazywała szkoła podstawowa oraz gimnazjum w Tłumaczu ukończył w roku 1931. Idąc za głosem powołania wstąpił do seminarium duchownego obrządku łacińskiego we Lwowie i rozpoczął studia filozoficzno-teologiczne na Uniwersytecie Jana Kazimierza, na Wydziale Teologicznym, które odbywał w latach 1931-1936. Jako student uzdolniony szczególnie w poznawaniu obcych języków, odznaczał się pracowitością, pilnością oraz sumiennym przestrzeganiem surowych przepisów regulaminu seminaryjnego, jakie wówczas obowiązywały kleryków. Ten dość ostry rygoryzm przyswoił sobie do tego stopnia, że próbował go stosować później w pewnej mierze wobec uczniów w szkole, stawiając im niekiedy zbyt wielkie wymagania intelektualne i charakterologiczne, co nie mogło pozostać bez sprzeciwu młodzieży, a także i rodziców, którzy zaczęli już dość wcześnie ulegać trendom liberalnym w wychowaniu domowym. Na tym tle dochodziło czasem do pewnych spięć i konfliktów, a co gorsza – dawało przeciwnikom Kościoła argumenty do wystąpień przeciwko katechezie szkolnej. Świecenia kapłańskie z rąk księdza arcybiskupa Bolesława Twardowskiego metropolity lwowskiego przyjął ks. Lisowski 29. 06. 1936 r. w katedrze lwowskiej, przed ołtarzem

Matki Boskiej Łaskawej, przed którym składał swoje historyczne śluby w roku 1656 król Jan Kazimierz. Ten fakt z przeszłości historycznej kapłani lwowscy wysoko sobie cenili i cenią, powracając w pracy duszpastersko-katechetycznej do niego, jako jednego ze środków wychowania patriotyczno-narodowego.

Pierwszą placówką pracy kapłańskiej księdza Józefa Lisowskiego była Jagielnica w powiecie czortkowskim, gdzie był wikariuszem i katechetą szkolnym w latach 1936-1939. Tam organizował i prowadził Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej i Żeńskiej jako formy działalności Akcji Katolickiej.¹⁾

Po wybuchu II wojny światowej objął administrację parafii Glińiany pod Lwowem, gdzie wraz z wiernymi przeżył w latach 1939-1945 cały koszmar okupacji sowieckiej, niemieckiej i powtórnie sowieckiej łącznie z ekspatriacją na Ziemię Odzyskane. Przyjechawszy transportem wysiedleńczym do Kędzierzyna na opolszczyźnie, zaangażował się w pracę katechetyczną, pełniąc te obowiązki w kilku miejscowych szkołach. Nie czując się dobrze w nowym środowisku śląskim, które wówczas stwarzało wiele napięć w pracy duszpasterskiej, zwłaszcza w relacjach: autochtoni – repatrianci, w roku 1947 przeniósł się na Dolny Śląsk i objął stanowisko prefekta gimnazjum w Karpaczu, gdzie uczył do roku 1949, kiedy Kuria Administracji Apostolskiej przydzieliła mu obowiązki wikariusza i katechety szkół w parafii Św. Maurycego we Wrocławiu. W roku 1950 podjął studia pedagogiczne na Uniwersytecie Wrocławskim, które ukończył w roku 1952 uzyskaniem stopnia magistra psychologii na podstawie pracy nt. „Różnica starania o jakość i szybkość pracy”, napisanej pod kierunkiem prof. dra hab. Mieczysława Kreutza. W tym też okresie był współorganizatorem i czynnym członkiem Wrocławskiego Koła Księży Prefektów, wygłaszał wykłady z zakresu psychologii rozwojowej i przygotowywał dla Ośrodka Katechetycznego Kurii Wrocławskiej pomoce dydaktyczne: „Materiały do nauczania dogmatyki” oraz „Materiały do nauczania etyki”. Publikacje owe, ze względu na restrykcyjne przepisy ówczesnych władz wobec Kościoła, mogły być rozpowszechniane jedynie w maszynopisach.²⁾

W walce o ideowe oblicze społeczeństwa rolę istotną odgrywa zawsze sposób wychowania i nauczania dzieci i młodzieży. Nic więc dziwnego, że w okresie wprowadzenia „nowego” porządku ustrojowego w Polsce po zakończeniu II wojny światowej, szkoła i Kościół znalazły się pod naciskiem wrogiej chrześcijaństwu ideologii marksistowsko-leninowskiej, która korzystając z całego aparatu władzy administracyjnej i politycznej, usiłowała kształtować osobowość młodego pokolenia polskiego według założeń materialistycznych, laickich i ateistycznych poprzez odpowiednio przygotowany i stopniowo wprowadzany program. Stąd też katecheci duchowni i świeccy nauczyciele religii stali się przedmiotem różnego rodzaju represji, których celem było całkowite wyrugowanie przedmiotu nauczania religii ze szkół wszystkich typów. Proces ten dokonywał się stopniowo, głów-

nie poprzez naciski, a nawet brutalne represje stosowane wobec poszczególnych katechetów, zaczynając od tych, którzy uzyskiwali pozytywne wyniki pracy dydaktyczno-wychowawczej i cieszyli się autorytetem w środowisku szkolnym. Trzeba też pamiętać, że nie cofano się w tych działaniach przed żadnym środkiem oszczerstw, szantażu, pogroźek, łącznie z przesłuchaniami w urzędach bezpieczeństwa pod rozmaitymi pozorami.³⁾

Ksiądz Lisowski od samego początku był obiektem licznych szykan czynników politycznych, które w jego pracy dopatrywały się działalności „wrogiej Polsce Ludowej”. Był oskarżany o brak tolerancji i dyskryminację uczniów pochodzących z rodzin „niewierzących”. Stawiano mu zarzuty, że „zmusza” uczniów do praktyk religijnych stosując „średniowieczne metody nauczania”. To było powodem częstych zmian szkół, w których pełnił obowiązki nauczyciela religii oraz parafii, gdzie sprawował duszpasterstwo.⁴⁾

W tych trudnych dla Kościoła latach 1950-1956 ksiądz Józef Lisowski potrafił zachować zawsze postawę godną kapłana-Polaka i pozostać wiernym Kościołowi.⁵⁾ Nie mogąc uczyć w szkołach, organizował i prowadził katechezę dzieci i młodzieży w pomieszczeniach parafialnych, przewyżając trudne wtedy warunki lokalowe.

W latach 1953-1954 był wikariuszem i katechetą w parafii Św. Katarzyna koło Wrocławia, a następnie w latach 1954-1957 sprawował te same obowiązki w parafii Wrocław-Klecina. Po przemianach jakie przejściowo nastąpiły na skutek tzw. „Października” 1956 roku, był prefektem Liceum Pedagogicznego Nr 2 we Wrocławiu oraz jednego z Techników w parafii Św. Maurycego. Niedługo jednak danym mu było pracować w tych szkołach, gdyż władze komunistyczne zaczęły znów dążyć do likwidacji nauczania religii w szkołach. W roku 1959 Kuria Metropolitalna Wrocławska zaproponowała mu objęcie parafii Żary koło Żagania. Ks. Lisowski przyjął te zadania i rozpoczął dynamiczną pracę duszpasterską w rozległej terytorialnie i liczebnie dość dużej parafii. Zorganizował przykościelne nauczanie religii w 16-tu punktach katechetycznych, które obsługiwał wraz ze swymi trzema współpracownikami. Ożywił znacznie duszpasterstwo młodzieży szkolnej i pozaszkolnej, skupiając ją w kilku grupach nieformalnych. Rzecz jasna, że ta aktywna i owocna działalność nie mogła na dłuższą metę podobać się władzom, od których decyzji zależało wówczas obsadzenie stanowisk kościelnych. Na żądanie Urzędu Do Spraw Wyznań będącego jednym z głównych narzędzi walki z Kościołem, w roku 1964 Ks. Józef Lisowski musiał Żary opuścić i objąć zarząd parafii Cerekwica w dekanacie trzebnickim. Tutaj szybko zdołał pozyskać wsparcie duchowe i sympatię wiernych, którzy docenili jego intencje oraz gorliwość kapłańską i w stosunkowo bardzo krótkim czasie zdołał odnowić zdewastowany niemal całkowicie zabytkowy XVII-wieczny kościół filialny w Masłowie pod wezwaniem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy.⁶⁾ Uroczystego poświęcenia tej odnowionej, a właściwie podniesionej z gruzów świątyni dokonał w Święto Matki Boskiej Niepokalanej w roku 1964 ks. biskup Wincenty Urban, kolega seminaryjny księdza Lisowskiego. Uczestnicząc w tej podniosłej uroczystości mogłem obserwować wielką ra-

dość i satysfakcję parafian, którzy w niełatwych wówczas warunkach ekonomicznych i politycznych jakie miały miejsce, mimo oporów i przeszkód ze strony władz komunistycznych, w stosunkowo niedługim czasie swoją ofiarnością i pracą fizyczną, do której zostali zachęcani przez swego proboszcza, dokonali tak wielkiego i wspaniałego dzieła. Będąc emocjonalnie związany z tym wiejskim środowiskiem ks. Lisowski już później, gdy przebywał za granicą, ufundował do kościoła w Masłowie piękne Stacje Drogi Krzyżowej, którą erygował dziekan trzebnicki ks. Wawrzyniec Bochenek.⁷⁾ Władze polityczne nie mogły „spokojnie” patrzeć na rosnącą popularność wiejskiego, ale cieszącego się rosnącym autorytetem, proboszcza i wyszukiwały różne preteksty, domagając się jego usunięcia również i z tego środowiska niewielkiej parafii. W takiej sytuacji, wobec ciągłych ataków i nerwowego napięcia, ks. Lisowski podjął decyzję opuszczenia Kraju ojczystego i korzystając z zaproszenia swego brata Jana, również kapłana, w roku 1965 wyjechał najpierw do Anglii, a następnie do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, gdzie pracował niemal 30 lat jako katecheta i duszpasterz Polonii. W roku 1969 odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej, z której przeżycia i refleksje opisał w prasie polonijnej.

Oprócz działalności katechetyczno-duszpasterskiej, której był całkowicie oddany, nie zaniedbywał pracy naukowej. Obok publikacji, o których była już mowa, przygotował obszerną rozprawę nt. psychologicznych aspektów modlitwy różańcowej. Dał jej tytuł: „Droga do źródła wody żywej”. Wydrukowana została w Stanach Zjednoczonych w języku angielskim, którym autor władał biegle jeszcze podczas studiów seminaryjnych we Lwowie. Zapoczątkowaniem tej publikacji był wykład w roku 1959 na jednej z sesji Polskiego Towarzystwa Naukowego we Wrocławiu pt. „Psychologiczne wymiary modlitwy różańcowej”. Zachęcany przez biskupa Wincentego Urbana kontynuował naukowe badania z zakresu psychologii religii, czego owocem były jeszcze kolejne publikacje drukowane w języku angielskim: „Them Way to the Spring of Living Water”, „Who needs the Rosary?”, „Modern Psychology says”, „I do, You do Re do, We do, YOU doTey do”.⁸⁾ W pracy katechetycznej, która była jego „pasją życia”, wysuwał postulat mówienia do dzieci językiem zrozumiałym, jasnym, obrazowym, ale nie zaciemniającym prawdy dogmatycznej, co bywa częstym błędem katechetów pragnących „za wszelką cenę” trafić do uczniów i uatrakcyjnić tok lekcyjny. Przystępna forma językowa nie powinna zaciemniać przekazywanej treści religijnej lub moralnej. Ten szczegółowy problem jest zawsze aktualny w katechezie i kaznodziejstwie. Od uczniów wymagał nie tyle pamięciowej wiedzy katechizmowej, co rozumienia, nie uznawał tzw. „wkuwania” pytań i odpowiedzi katechizmu. Mawiał: „musisz najpierw rozumieć, a po tym dopiero zapamiętać”. Nie wiem, czy znał już wówczas z różnych publikacji zdanie papieża Piusa XII, który w swym liście do Międzynarodowego Kongresu Katechetycznego w Wiedniu w roku 1958 napisał m. in.: „Chrześcijanin powinien najpierw jasno wiedzieć, by mógł w sposób właściwy działać”.

Nam żyjącym w znacznie zmienionych i stale zmieniających się warunkach społecznych i kulturowych, które mocno wpłynęły na wychowawczą atmosferę ro-

dziny i szkoły, gdy wiele się mówi, a często nadużywa pojęcia „tolerancja”, często dla ukrycia różnych intencji i planów oraz dewiacji etycznych, nie jest łatwo zrozumieć i ocenić postawy pedagogów tej miary, co ks. mgr Józef Lisowski. Zbyt pochopnie przyjęliśmy styl wychowania „na luzie” i bezstresowo, domagamy się także od Kościoła pewnych „ustępstw”, zwłaszcza w dziedzinie moralnej, co intensywnie propagują media, zyskując tym niekiedy „poklask tłumów”. Już na początku XX stulecia arcybiskup metropolita lwowski Błogosławiony Józef Bilczewski, w jednym ze swych wystąpień do katechetów powiedział: „Ludzie dziś bez zastrzeżeń przyjęliby do wiadomości „nowy” dogmat stwierdzający, że Trójca Święta, to nie trzy ale cztery Osoby Boskie, chociaż jest to nonsensem, w zamian za „zniesienie” przez Kościół dwóch przykazań Dekalogu: szóstego i dziewiątego.”. Jak niewiele zmieniła się mentalność społeczna w ciągu niemal stu lat od tego bardzo trafnego sformułowania. Jak trudno przychodzi nam przyjąć prawdę, gdy ona ma „smak gorzki jak lzy” (Antoni Gołubiew). „Wygodne to dla ucha, gdy prawdy się nie słucha”. Nauczanie Prawdy Ewangelii napotyka zawsze na sprzeciw ludzkiej słabości.

Wspominając postać ks. Józefa Lisowskiego, widzimy jak ten kapłan „nie przystaje” swymi poglądami, postawą oraz stosowanymi metodami wychowawczymi do obecnej rzeczywistości. Sam wychowany w twardej i surowych warunkach materialnych i zapewne też podobnie dużych wymogach charakterologicznych zarówno w rodzinie jak i w szkole, usiłował w ten sam sposób oddziaływać na innych i tego domagał się od innych. I tutaj chyba trzeba doszukiwać się przyczyn jego nieugiętej postawy wobec władz świeckich oraz pewnej surowości w stosunku do uczniów, a także wobec swych najbliższych współpracowników w duszpasterstwie, księży wikariuszów, którzy szanowali go po-

mimo pewnej oschłości i nieustępliwości, zwłaszcza w dziedzinie porządkowej i organizacyjnej. Ci księża zachowali w pamięci niektóre jego charakterystyczne, czasem nawet ironiczne, wypowiedzi i uwagi świadczące o jego swoistym poczuciu humoru. Oto jedna z anegdot krążących wśród młodszych księży: Do Żar, gdzie proboszczował ks. Lisowski przybyli nowomianowani księża wikariusze. Proboszcz w rozmowie z nimi stwierdza: „będzie wam tu dobrze, wikt jest bardzo dobry, będą kurczaki... gospodyni dobrze gotuje...”. Młodzi przyjęli to zapewnienie z uznaniem. Przez kilka dni na stole pojawiają się jedynie jajka w rozmaitej postaci, o drobiu ani słycho. Zwracają się do proboszcza: „miały być kurczaki, a są tylko jajka – dlaczego?” Ksiądz Lisowski ze spokojem odpowiada: „kurczęta nie mają czasu się wylęgnać skoro wy jecie wciąż jajka”.⁹⁾

Ks. mgr Józef Lisowski zmarł 12. 01. 1995 r. w Fort Dodge, USA. Ten kapłan reprezentuje losy wielu uzdolnionych Polaków, którzy na skutek barbarzyńskiej postawy władzy ironicznie zwanej „ludową”, w latach powojennych zostali zmuszeni wyjeżdżać z Kraju, by wśród obcych rozwinąć swoje twórcze możliwości, zamiast owocnie pracować dla dobra wspólnego we własnej Ojczyźnie.

Przypisy:

1. Schematismus Archidioecesis Leopoliensis ritus latini Leopoli 1938. s. 51.
2. Bp Wincenty Urban: Duszpasterski wkład księży repatriantów w archidiecezji wrocławskiej w latach 1945-1970, Wrocław 1970. s. 98.
3. Ks. Stanisław Turkowski: Represje wobec katechetów w latach 1944-1956, Wrocław 2001, mps s. 1n.
4. Akta personalne Kurii Metropolitalnej Wrocławskiej.
5. Bp W. Urban dz. cyt. s.98.
6. Bp W. Urban dz. cyt. s. 99.
7. Informacja otrzymana od ks. dziekana W. Bochenka z Trzebnicy.
8. Bp W. Urban dz. cyt. s. 99.
9. Relacja jednego z byłych wikarych w Żarach. □

Z Tłumackiego Powiatu

Tarnawica Polna – Nowy Waliszów (cz. I)

Obszar powiatu tłumackiego wynosił 934 km², zamieszkiwało go 116 tys. osób tj. 124 osoby na 1 km² wg podziału administracyjnego z dn. 1 IV 1938 r. Do powiatu tłumackiego należały 63 gminy wiejskie. Status miasta posiadała Tyśmienica, za miasteczka uważało się też Niżniów i Ottynię. Powiat zamieszkiwała ludność narodowości: polskiej, ukraińskiej, ruskiej, żydowskiej, niemieckiej i ormiańskiej. We wsiach przeważała ludność ukraińska, były też wsie polskie jak Tarnawica Polna oddalona od Tłumacza o 12 km.

Nazwę swą wieś wywodzi od Hetmana Koronnego Jana Tarnowskiego (Tarnów, Tarnopol). Po zwycięskiej bitwie pod Obertynem nadał on pobliskie ziemie swojej piechocie łanowej. Tak powstała po 1531 r. polska wieś Tarnawica Polna. W roku 1945 przed opuszczeniem wsi przez Polaków miała ona ponad 500 numerów.

W Urzędzie Miasta i Gminy w Bystrzycy Kłodzkiej 16. 03. 2001 otwarto wystawę pt. „Powrót do korzeni. Tarnawica Polna – Nowy Waliszów”. Pomysłodawcą i głównym realizatorem wystawy był Andrzej Wziątek, pasjonujący się historią Kotliny Kłodzkiej.



A. Wziątek – lat 54, mieszkaniec Bystrzycy Kłodzkiej. Dzięki pasjom kolekcjonerskim jest autorem trzech pięknie wydanych albumów: „Uzdrowiska Ziemi Kłodzkiej”, „Bystrzyca Kłodzka”, „Gminy Masywu Śnieżnika – na dawnej poczcie” oraz opracowania pt. „Tarnawica Polna – Nowy Waliszów – małe ojczyzny”

Wystawa w Bystrzycy Kłodzkiej



A. Saldacz, rodowita tarnowiczanka otrzymuje album od burmistrza Bystrzycy M. Kamińskiego



Goście z Tarnawicy Polnej i młodsze pokolenie z Nowego Waliszowa

Miejscowa prasa podała art. R. Piel:

Do Nowego Waliszowa przyjechali 8 sierpnia 1945 roku. Wcześniej mieszkali na Wschodzie we wsi Tarnawica Polna, powiat Tłumacz, województwo stanisławowskie (obecnie Ukraina). Trzema pociągami przybyło około 1.500 ludzi. Zamieszkali w Nowym i Starym Waliszowie, Zabłociu i Pławnicy.

Do Polski mogli zabrać tylko po jednej krowie i koniu. Ci, którzy mieli więcej dobytku, musieli go zostawić. Mimo to większość zdecydowała się na wyjazd z Tarnawicy Polnej.

Przez najbliższe dwa tygodnie w holu Urzędu Miasta i Gminy Bystrzyca Kłodzka, można oglądać wystawę poświęconą właśnie ludziom, którzy w sierpniu 1945 roku przyjechali ze Wschodu do Nowego Waliszowa. Później wystawa zostanie przeniesiona do świetlicy w Nowym Waliszowie.

– W 1945 roku wioska nazywała się Neu Waltersdorf, później do 1948 roku Nałęczów – opowiada **Józef Sołdowczuk**, sołtys Nowego Waliszowa. – Obecna nazwa wsi obowiązuje od 1948 roku.

W grudniu ubiegłego roku **Andrzej Wziętek** z Bystrzycy Kłodzkiej wpadł na pomysł zorganizowania wystawy poświęconej przybyłym ze Wschodu osadnikom.

– Na początku ludzie dość nieufnie podchodzili do tego pomysłu. Nie chcieli pokazywać pamiątkowych zdjęć i dokumentów – wspomina **Andrzej Wziętek**. – Jednak dzięki zaangażowaniu wielu osób z sołtysem **Sołdowczukiem** i radnym **Józefem Zaleskim** na czele (obaj mieszkają w Nowym Waliszowie, a ich korzenie wywodzą się z Tarnawicy Polnej) ludzie przelamali się i zaczęli udostępniać nam swoje pamiątki, które przynieśli ze sobą po wojnie. Teraz zadziała zasada domina. Wiem, że inne wioski, w których mieszkają ludzie pochodzący z Tarnawicy Polnej, także myślą o przygotowaniu podobnych wystaw.

Oprócz wystawy, na której znalazły się zdjęcia z Tarnawicy Polnej i Nowego Waliszowa, jej autorzy przygotowali obszerne opracowanie dotyczące historii ludzi pochodzących ze Wschodu.

Otrzymaliśmy to arcyciekawe opracowanie i zapowiadamy w następnych numerach ZT przedstawić w odcinkach historii i zdjęcia mieszkańców Tarnawicy Polnej – polskiej wsi, „gnieździe AK” (zobacz ZT nr 1 (21) i kw. 2001) wg prof. Ryszarda Brykowskiego.

Redakcja

Z życia Tłumaczan

Spotkanie opłatkowe 2002

Anna Panachida-Bocheńska

W dniu 16 stycznia br. Tłumaczanie spotkali się na tradycyjnym już „opłatku”. Ten wspaniały dzień rozpoczął się mszą św. w kościele pw. św. Doroty i św. Stanisława przy ul. Świdnickiej we Wrocławiu. Modliliśmy się w intencji wszystkich żyjących Tłumaczan i za dusze zmarłych oraz tych, którzy zginęli w obu wojnach światowych.

Dzień był bardzo mroźny, kościół zimny (jest w trakcie remontu), ale możliwość wspólnego przebywania i wspólnej modlitwy wprowadziło nas w podniosły, ale też i ciepły nastrój.

Ksiądz kanonik **Andrzej Brodawka** w pięknym kazaniu wyraził podziw, że tak licznie przyszliśmy, podziękował za pamięć o swoich korzeniach, za pielęgnowanie tradycji i wspomnień o Ojczyźnie pozostawionej na Kresach. Dziękował również za pamięć o naszych kapłanach, tj. o długoletnim proboszczu z Tłumacza, ks. kanoniku **Edwardzie Tabaczkowskim** oraz również długoletnim pro-

boszczu tego kościoła tłumaczanie ks. prałacie Czesławie Tuzinkiewiczu. Wspomniał o pozostawionym przez niego obrazie tłumackim „Serce Pana Jezusa” w bocznym ołtarzu kościoła, gdzie po skończonej mszy poszliśmy wszyscy pomodlić się przed nim. Złożyliśmy kwiaty i zapaliliśmy znicze pod dwiema tablicami ufundowanymi przez nasze Towarzystwo Tłumaczan jeszcze w czasach bardzo trudnych, bo 1978-1991.

Spotkanie opłatkowe odbyło się w restauracji „Bankowa” we Wrocławiu. Przy zastawionych w podkowie stołach zasiadło 48 osób, z różnych stron Polski. Uroczystość rozpoczął prezes naszego Oddziału Zygmunt Burczyński, powitał serdecznie wszystkich uczestników i oddał głos ks. Zbigniewowi Wróblowi proboszczowi kościoła św. Anny z Siedlakowic. Ksiądz rozpoczął nasze spotkanie modlitwą, a następnie podzielił się wspomnieniami z pielgrzymki odbytej ze swoimi parafianami na Ukrainę z okazji wizyty Papieża Jana Pawła II. Rozdał wszystkim obrazki z podobizną Papieża i rozpoczął dzielenie się opłatkiem. Każdy z każdym tradycyjnie łamał się opłatkiem, powstało duże zamieszanie, wszyscy ściskali się życząc sobie nawzajem zdrowia, pomyślności i wszelkich radości z życia.

Następnie zabraliśmy się do gorącego barszczu z pasztecikiem i do pysznych „zimnych nóżek” – specjalności zakładu prowadzonego przez kresowiaków i już ich dzieci i wnuków. Była jeszcze rybka po grecku, śledziki w oliwie i różne wędliny. Smakowało jak w naszych starych domach w Tłumaczu.

Jurek Czyżycki serwował wspaniałe domowe wino z piękną etykietą „Jurne Wino”, pyszne, aromatyczne. Dziękujemy Jureczku! Na stołach pojawiły się przeróżne domowe wypieki – dzieło Tłumaczanek, również dziękujemy!

Nie obyło się bez ciekawych wystąpień zaproszonych gości. Głos zabrał wiceprezes Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej Bolesław Sudomlak ze Lwowa. Podziękował za zaproszenie i podzielił się wrażeniami Rodaków-Lwowiaków po wizycie Papieża. Polacy liczyli na polepszenie stosunków polsko-ukraińskich we Lwowie po wizycie Papieża, ale jednak to nie nastąpiło.

Zaproszony red. Zbigniew Umański jako przedstawiciel Zarządu Głównego TMLiKPW przekazał od Prezesa naczelnego pozdrowienia i serdeczne życzenia zdrowia i dalszej owocnej pracy Oddziału Tłumaczan.

Wystąpienie Danuty Tabińskiej-Juhasz wiceprezes naszego Towarzystwa miało na celu przekazanie od mieszkańców Tłumacza, nielicznie tam pozostałych Polaków z rodzin mieszanych, pozdrowień i życzeń noworocznych oraz ich radości, że nie zapominamy o nich żyjących tam w ciężkich warunkach. Przed każdymi świętami są oni wspomagani przez Fundację „Semper Fidelis” i Telewizję Wrocławską, mówi Danuta, która uczestniczyła również w tym roku w przekazywaniu darów Tłumaczanom.

Danusia wygłosiła też apel do wszystkich zebranych o pisanie wspomnień do „Zeszytów Tłumackich”, o ile chcemy ten nasz kwartalnik w dalszym ciągu wydawać.

Ciepłą domową atmosferę wprowadziło wspólne śpiewanie pięknych kolęd i pieśni przypominających domowe kresowe święta, ich atmosferę i nigdy nieprzemijający czar. Rozstawaliśmy się kończąc ten piękny dzień radosny i rozczulający z solennym przyrzeczeniem, że wrócimy tu za rok, a także, że spotkamy się jak zwykle w Kołobrzegu!



Msza św. za Tłumaczan celebrowana przez kanonika A. Brodawkę – ministrant Jerzy Czyżycki



Przy opłatkowym stole – Prezes Z. Burczyński wita gości i Tłumaczan

Nasze strony (c.d.)

Danuta Tabińska-Juhasz

W ostatnim numerze ZT zobowiązałam się do opisanie uroczystości obchodów 260 rocznicy urodzin Franciszka Karpińskiego, wielkiego polskiego poety doby Oświecenia (04 X 1741 – 16 IX 1825). Odbyły się one



w Stanisławowie i Hołoskowie, w miejscu urodzenia poety na Pokuciu. Organizatorami byli Tow. Kultury Polskiej im. F. Karpińskiego w Stanisławowie oraz Stow. „Wspólnota Polska” w Warszawie. Uroczystości rozpoczęto w dniu 27 X 2001 mszą św. w kościele pw. Chrystusa Króla w Stanisławowie celebrowaną

przez ks. prof. Tadeusza Patera z Przemyśla. Licznie przybyli mieszkańcy i goście z Polski i Ukrainy wysłuchali patriotycznej i wzruszającej homilii ks. prof. T. Patery. Złożono kwiaty i zapalono znicze przed tablicą poświęconą F. Karpińskiemu, znajdującą się w bocznej nawie kościoła. Po mszy odbyła się polsko-ukraińska sesja naukowa, gdzie okolicznościowe referaty wygłosili: doc. Olga Ciwkarz i doc. Igor Kozłyk, pracownicy naukowcy Uniwersytetu Przykarpackiego w Stanisławowie. Nie dojechali dr Tomasz Chachulski z Inst. Badań Literackich z Warszawy oraz z powodu choroby prof. Ryszard Brykowski. Sesję rozpoczął chór młodzieżowy pieśnią „Gaude Mater Polonia” i wierszem „Wezwanie” o Karpińskim (F. M.) recytowanym przez studenta Dima Buntaw.

*„Karpiński! – któż twą lutnię teraz odziedziczy?
Któryż wieszcz zrówna twojej prostocie, słodyczy?
Każdy dźwięk twój po całym narodzie zastynął:
Jak tkliwy żal dziecinny, w wszystkie serca płynął.
Powtarzały go nasze lasy, pola, wioski,
Koił się ciężki smutek, uciszały troski,
Biegła miłość wieśniacza spod swej niskiej strzechy,
Usłyszeć swoje twogi, żale i pociechy,
Rolnik nawet na wszystkie niedole skazany
Patrząc na zaniedbane ojców swoich łany,
Zniszczony krwawą wojną i wszystko straciwszy
Zanucił twoją piosnkę i orał szczęśliwszy.*

(F. M.)

Gości i zebranych powitała Wanda Sergiejowa, prezes Tow. Kultury Polskiej im. F. Karpińskiego w Stanisławowie. Przeprosiła za skromne pomieszczenie w Klubie Kolejjarza, ale władze miasta w ostatniej chwili odmówiły wstępu do Kolegiaty, gdzie planowano odbyć tę właśnie sesję. Głos zabierali: Konsul Dębicki ze Lwowa, St. Leszczyński przedstawiciel Stow. „Wspólnota Polska” z Warszawy oraz przedstawiciele władz lokalnych wyrażając wdzięczność za zorganizowanie tak znaczącej uroczystości, która będzie pomyślnie owocowała w dalszych stosunkach polsko-ukraińskich. Równocześnie przybliży mało znaną w literaturze ukraińskiej twórczość wielkiego poety, syna ziemi pokuckiej. Następnie wysłuchano ciekawych referatów wcześniej wymienionych docentów Uniwersytetu Przykarpackiego (gdzie obecnie znajduje się wydział filologii polskiej).

W części artystycznej śpiewał chór studencki w/w uczelni. Rozbrzmiewały pieśni F. Karpińskiego. Studenci też odegrali scenkę z komedii „Czynsz” napisaną przez F. Karpińskiego. W sali klubu była reprezentowana wystawa pt. „F. Karpiński – życie, twórczość i publikacje”. Obecni mogli naocznie zapoznać się z bogatą spuścizną twórczości poety. Wystawę tę przywiozło Muzeum Okręgowe z Sandomierza i podarowało Stowarzyszeniu Karpińskiego.

Po zakończeniu sesji wyruszyliśmy wszyscy żeby złożyć kwiaty przy tablicy umieszczonej na ścianie byłego Kolegium Jezuickiego, gdzie F. Karpiński pobierał nauki. Przy okazji podziwialiśmy pięknie odremontowaną Starówkę Stanisławską.



Fot. A. Mędlarska

Autorka przy pomniku F. Karpińskiego w Hołoskowie

Dalsze uroczystości rocznicowe odbyły się w Hołoskowie w miejscu urodzenia poety, gdzie przybyliśmy trzema autokarami (10 km za Ottynią). Na wzniesieniu za cerkwią prawosławną w otoczeniu 5-ciu wspaniałych dębów, na postumencie wznosił się prawdziwy nieociosany karpacki głaz. Umieszczana na nim dwujęzyczna tablica informuje o miejscu urodzenia i zamieszkania wielkiego poety. Tłum ludzi otaczał obelisk. Przybyło dużo młodzieży – zespoły artystyczne dziecięce i młodzieżowe, chór parafialny „Wolumen” z Kołomyi. Duchowni trzech religii odprawili modły i święcili pomnik kropidłem podawanym z rąk ks. A. Górskiego z Kołomyi. Bogate stroje duchownych i różnorodny śpiewy i modły robiły duże wrażenie na zebranych. Młodzież szkolna w pięknych huculskich strojach odegrała scenkę rodzajową związaną z legendą o rozbójnikach pod wodzą Dobosza, którzy napadli na dwór w czasie narodzin Franciszka. Jednak rozbójnik Dobosz przewidując w nim wielkiego człowieka odwołał swoją bandę. Matka Karpińskiego dziękowała i częstowała jadłem huculskich rozbójników.

Wszyscy byli zachwyceni wspaniałą grą dzieci, a dostojne dęby szumiały nad nami.

Największy i najstarszy dąb noszący imię Karpińskiego rosnący nad urwiskiem wprost kusił do robienia zdjęć. Tak więc powstało zdjęcie „ekumeniczne”, gdyż z duchownymi trzech obrządków religijnych.

Zakończenie uroczystości nastąpiło na wspaniałej kolacji w hotelu „Ukraina” w Stanisławowie. Serdeczne rozmowy, zawieranie znajomości pomiędzy przedstawicielami różnych towarzystw polskich zaproszonych z całej Ukrainy trwały do późnych godzin nocnych. Były też podziękowania organizatorom i wspólne śpiewy zakończone pieśnią wieczorną naszego wielkiego krajana „Wszystkie nasze dzienne sprawy”.

Temat F. Karpińskiego często gościł na łamach naszych Zeszytów, dlatego też ograniczyłam się tylko do zrelacjonowania uroczystości obchodów 260 rocznicy urodzin wielkiego „poety serc”

Dla przypomnienia:

ZT nr 1 (13) I kw. 1999 r. „O Franciszku Karpińskim i jego poezji” A. Siwiński

ZT nr 4 (16) IV kw. 1999 r. „O kołędach i zwyczajach wokół Bożego Narodzenia” A. Siwiński

ZT nr 2 (18) I kw. 2000 r. „Otóż, mój dom ubogi” J. Czyżycki

ZT nr 2 (22) II kw. 2001 r. „175 rocznica śmierci Franciszka Karpińskiego” Redakcja

„Nasz wielki krajana” ks. L. Jeżowski



Fot. A. Mędlarska

Pod dębem Karpińskiego – od lewej 2-gi konsul Dębicki, Alicja Mędlarska, sponsor PCK-Ziębice, Danuta Tabińska-Juhasz, pozostali kapłani trzech obrządków

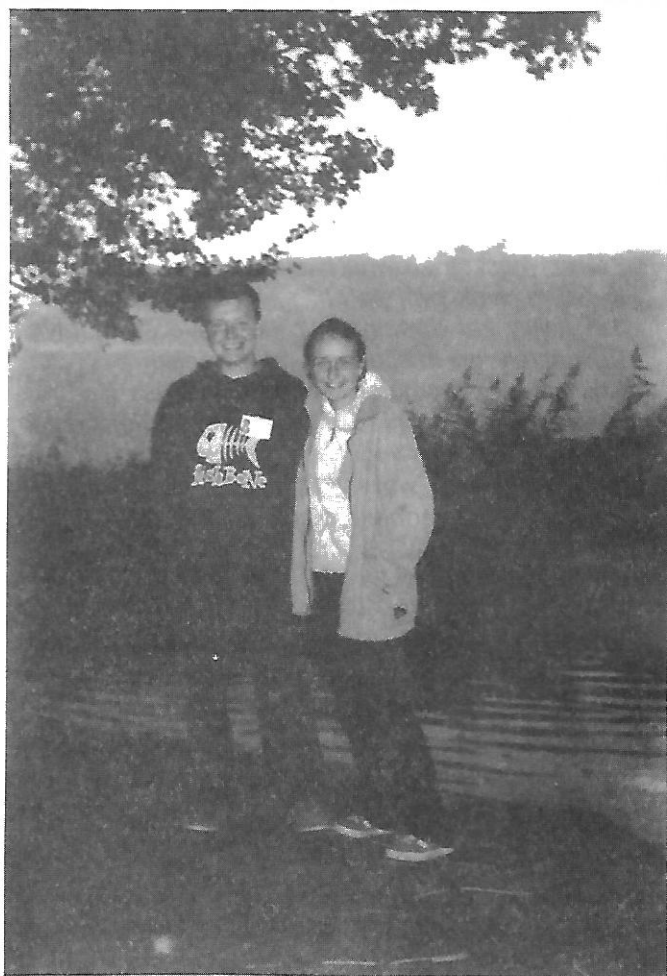
Wspomnienie ostatniego lata

Adam Biliński

Kończy się zima. Dni stają się dłuższe, z każdym dniem robi się cieplej – wkrótce wiosna. Jest to także kolejny rok trwania naszego wspaniałego kwartalnika „Zeszyty Tłumackie” i jeszcze miłszej Grupy Tłumackiej. Lecz ja tymczasem ciągle mam w pamięci ostatnie dni lata ubiegłego roku, kiedy to spotkała mnie rzecz niezwykła...

Otóż, jak wiedzą bliskie mi osoby, w ubiegłym roku zdałem maturę i egzamin na studia, po którym dostałem się na Uniwersytet Wrocławski. I nie mówilibym o tym, gdyby nie pewne zdarzenie. Mianowicie w pierwszych dniach września wyjechałem na obóz adaptacyjny dla młodych żaków, studentów pierwszego roku prawa, do Lidzbarka Welskiego (między Działdowem a Brodnicą). Było tam też kilkadziesiąt innych osób z ośrodków akademickich w całej Polsce, z którymi wspólnie się integrowaliśmy, mieliśmy szkolenia, a przede wszystkim dobrą zabawę. Miejsce, w którym mieszkaliśmy, to malowniczo położony ośrodek wypoczynkowy „Danusia I” nad tamtejszym jeziorem. Domki były rozrzucone w lesie nad brzegiem wody – wszystko to tworzyło romantyczną atmosferę, która sprzyjała uroczym wieczorkom, poświęconym niekończącym się rozmowom, a przez nie – wzajemnemu poznaniu. Bynajmniej nie ograniczaliśmy się w nich do ulubionej muzyki i zabaw. Rozmawialiśmy też na tematy poważne, np. dotyczące pochodzenia i przodków... Chyba nie było osoby, która by nie posiadała kresowych korzeni. Także i mnie, jako jednemu z wielu, przyszło pochwalić się rodowodem – oczywiście najlepszym, bo z Tłumacza w byłym województwie Stanisławów. Wtedy to jedna z poznanych tamże dziewczyn z niedowierzaniem jakby w głosie poprosiła, ażebym jeszcze raz, wyraźnie powiedział, skąd są moi dziadkowie? Powtórzyłem więc jeszcze raz to samo i zapytałem, czemu tak ją to ciekawi. Tymczasem ona z przejęciem oznajmiła, że jej dziadkowie także są z Tłumacza. To mnie wprawiło w prawdziwą radość, a jednocześnie dziwne uczucie. Jaki ten świat mały! – pomyślałem. Okazało się ponadto, że Aleksandra, bo tak jej było na imię, będzie ze mną studiować we Wrocławiu, w tej nowej grupie wykładowej. To naprawdę niezwykle, wspaniałe zbieg okoliczności!

W dalszych rozmowach udało mi się dowiedzieć nieco o rodzinie Oli. Okazało się, że jej dziadkowie znają Tłumacki Oddział i nasze „Ze-



Adam Biliński i Ola Ilcyszyn w Lidzbarku Welskim (3-9 września 2001 r.)

szyty Tłumackie". Są to państwo Józef, syn Maksymiliana oraz Stefania z domu Lipińska – Ilcyszynowie, którzy z pewnością są dobrze znani tłumackiej społeczności. Mnie zaskoczyły jednak i jeszcze inne rzeczy. Kiedy powróciłem do domu, przeglądając moje „rodzinne papiery” oraz archiwalne numery „Zeszytów Tłumackich” odkryłem, że nasze dwie rodziny dobrze się znały, a nawet były spowinowacone!... Dziadek Oli, pan Józef Ilcyszyn, ur. w 1925 r., był szkolnym kolegą brata mojego dziadka Mariana – Leona Bilińskiego. Z czasów ich młodości pochodzi nawet wspólne zdjęcie. W tłumackim parku pod pomnikiem Stalina w 1940 r., publikowane w numerze 1(5) z 1997 r. na 18 str. Jeśli chodzi zaś o związki rodzinne, to odnalazłem w swych dokumentach wzmiankę o małżeństwie niejakiej Pauliny Bilińskiej z Janem Lipińskim w 1850 r. Gdy powiedziałem o tym Oli, ona przypomniała sobie, iż jej babcia wspominała kiedyś, że pamiętała swój prababcie Paulinę z Bilińskich. Dla mnie jest to tym bardziej ważne, że ta Paulina

to najprawdopodobniej dalsza kuzynka mojego prapradziadka Leona Bilińskiego (ich dziadkowie byli braćmi).

Wszystko to wydaje się nieprawdopodobne, a jednak jest to najszczęśliwszą prawdą. Faktycznie, gdzieś na końcu Polski poznałem sympatyczną dziewczynę, która okazała się być nową koleżanką z uczenia, nasi dziadkowie się znali, a w dalszych pokoleniach następowało nawet spokrewnienie!... Dostając się na te studia otrzymaliśmy wspólną szansę osiągnięcia czegoś w życiu. Obyśmy za kilka lat razem mogli powiedzieć, że tak właśnie się stało i żebyśmy wraz z nowymi pokoleniami mogli dalej współtworzyć i kontynuować tradycję Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan!

Brawo Adasiu! Zapraszamy do współpracy młode pokolenia wszystkich wnuków i prawnuków Tłumaczan.

Redakcja

Listy

Listy z Izraela – IV

Kornelia Szankowska

Listopad – więc jesień, ale nie tu. Wprawdzie pożółkły liście granatu i opadają teraz, a także topola je traci, ale to wszystko. Nadal wokół „kipi” zieleń, kwitną żywopłoty purpurowymi kielichami oraz chińskie róże, hibiskusy i inne. Uwija się ptactwo: urocze opalizujące czarne koliberki, bul-bule trzykolorowe i czubate dudki o niesłychanie długich i cienkich, czarnych dziobach. Myszkuje nimi w ziemi strosząc strojny czubek i ogon. W Ramat-Ganie dodatkowo gnieźdzą się zielone papugi – nietypowe dla Izraela. Może uciekły z klatki – teraz żyją tu na wolności, na wysokich drzewach eukaliptusa nad rzeką Jarkon. Bliskość leniwie płynącej rzeki jest dużym urozmaiceniem krajobrazu. Żyje na niej kilka gatunków wodnego ptactwa, w tym nieznanne nam białe miniaturowe niby-czaple. Wzdłuż rzeki ciągnie się rozległy teren rekreacyjny. Po ścieżkach biegają niekoniecznie tylko młodszy ludzie i jeżdżą rowerzyści, też w różnym wieku. Ranki są teraz długo pochmurne, wieje wiatr i jest chłodno. W dzień słońce grzeje nieprzesadnie. Zmierzch zapada wcześniej, po godz. 4-tej. Zaczynają się deszcze, nawet ulewy z błyskawicami i grzmotami, ale mało wody spada na spragnioną ziemię. Rzeka przybrała na krótko.

Z niedalekiej szkoły codziennie rano dobiegają melodie, które zamiast dzwonka wzywają na lekcje.

Teraz, gdy nie jest gorąco, odbywają się liczne remonty domów, a także przebudowy i upiększenia, buduje się też wciąż wiele nowych. Ściany są wykańczane okładziną kamienną, w środku beton – niestety. To pozwala na szybkie budowanie. Na niektórych budowach pracują również nasi rodacy.

Po ulicach chodzą tu liczni Filipińczycy obojga płci, także Murzyni – ci, często bezrobotni, siedzą w Jafie na przystankach autobusowych, ale dostatnio ubrani i odżywieni. Jest im tu nieźle.

Jest piątek – w sklepach warzywno-owocowych obniżka cen. Towar nie może leżeć przez szabat, zepsuje się lub straci wygląd i wartość. Od niedzieli znów ceny będą wyższe do kolejnego piątku, kiedy tu robi się ogromne zakupy wszystkiego. A kupić tu można, podobnie jak przed wojną w Warszawie na ul. Nalewki¹⁾, „wszystko i... jeszcze coś więcej” – jak mówiono tam. Są tu różnorodne warzywa i owoce – wyhodowane na miejscu, teraz już zaczynają się truskawki. Owoce są wspaniałe, ochłodzone w lodówce mango – świetny deser, pomarańczowe afarsemony, niby pomidory, ale słodkie i o dużych pestkach, rogate owoce opungi, rogate owoce zielone, chyba jakiejś odmiany opungi, i inne. Gruszki i jabłka w wyborze i kolorach niezwykłych.

Poza tym są tu pyszne ciasta – często z dużą ilością cynamonu, sezamu i bakalii oraz maku. Jest duża konkurencja, ale i zbyt, bo popyt duży. Izraelczycy mogą pozwolić sobie na dobre i urozmaicone odżywianie. Spotyka się tu wiele bardzo otyłych osób, nawet bardzo młodych, obojga płci. Ma to czasem wręcz monstrualne rozmiary. Przeważają jednak szczupli, wysocy o ciemniejszej kamacji, różni od tych, których pamiętamy z Polski. A wszyscy tu tak bardzo boją się cholesterolu!

Ci, którzy przybyli przed laty, to przeważnie bardzo zaawansowani wiekiem seniorzy. Zapamiętali nasz język i chętnie się nim posługują, też między sobą, czasem trochę znają go ich dzieci, bo był językiem domowym. Słyszę go na ulicach, choć dominuje rosyjski.

Utrzymuję żywy kontakt z 93-letnią panią Wilmą, wdową po tutejszym ministrze. Urodzona w Rzeszowie, potem mieszkała w Wiedniu, ale w domu używano języka polskiego. Pani Wilma R. jest przykładem bardzo szykownej starszej pani. Z życzliwym uśmiechem i pobłażliwością odnosi się do życia. Mieszka tu od 1938 r. Doświadczyla bardzo dużo, była dyrektorką gimnazjum, straciła dorosłego syna, w wyniku wypadku ma trwałą kontuzję obu nóg i chodzi o kulach na codzienne, czasem dłuższe spacerzy – stąd się znamy. Jej dewiza życiowa: „nic tak naprawdę nie jest ważne” – chociaż w toku życia wielu sprawom nadajemy ogromną wagę – trzeba o tym pamiętać.

Spotykam osoby z różnych polskich miast, często kresowych – ich sentyment nie ostygł całkiem. Niektórzy opisują swoje życie, a życiorysy są jak pasjonujące powieści.

Dużo osób jeździ do Polski na kuracje do Krynicy, Ciechocinka. Grono byłych tłumaczan to dawniej około 50 osób – teraz mała garstka. Odeszli znani tu lekarze, profesorowie, kupcy. Urodzona w Tłumaczu siostrzenica Karola Zewadi polonistka i pedagog czynny w ramach Instytutu Kultury Polskiej w Tel-Awiiw prowadzi kursy języka polskiego! Tak, około 50 osób w wieku 18-56 lat przyswajają sobie nasz język. Jakież są motywy tego zainteresowania? Jedni, bo ich interesuje kraj przodków; inni, gdyż chcą mieć kontakt z Polakami, którzy uratowali ich bliskich, a nie znają ci prawdziwi ludzie żadnego języka poza ojczystym (często są to wiejscy ludzie), wreszcie są tacy Żydzi, których interesuje Polska, nasza kultura, kraj – chociaż nie mieli korzeni własnych tam.

Teraz są ulewne deszcze. Od dwóch dni już wywołały powódź w Haifie. Obrazy w TV – przypomniały mi powódź w kraju, zalane domy, rzeki zamiast dróg. Deszcz rzęsiście pada nadal, towarzyszą mu grzmoty i błyskawice.

Ale... zbliżają się święta Bożego Narodzenia.²⁾ Betlejem – od tego miejsca jestem bardzo blisko – nie będzie dla nas dostępne z

powodów politycznych. Kościół katolicki mieści się nad morzem Śródziemnym w Jafie. Jego duszą i opiekunem Polaków jest ks. prałat Grzegorz Pawłowski – Żyd – wychodźca uratowany przez polską rodzinę. Ogłasza w kościele wycieczki, które organizuje, potem obwozi grupy wycieczkowe po Izraelu i pomaga wszystkim. Ks. Grzegorz corocznie jest organizatorem kolacji wigilijnej w przykościelnej sali, która jest okolicznościowo udekorowana.

Kolację „rozpisuje” ksiądz na osoby chętne, które mogą przygotować potrawy w domach, gdzie pracują. Przyjeżdżają Polacy i z odległej o 100 km Hajfy, i z innych miast. Zasiada ponad 100 osób, tworząc księża. Są tradycyjne dania podane turystycznie. Po długim łamaniu opłatkiem „wszystkich z wszystkimi” śpiewa się do późna kolędy. Ks. Grzegorz przebrany za św. Mikołaja rozdaje cukierki.

O ks. Grzegorz Pawłowskiem z Jafy pisał dwukrotnie kwartalnik „Ziemia Święta” w Polsce.

Jest w Izraelu drugi ksiądz, wychodźca o podwójnym imieniu i nazwisku. Romuald-Jakub-Weksler-Waszkinel. Ma dwie pary rodziców: nieżyjących, zamordowanych żydowskich i polskich, którzy go przyjęli i wychowali. O nim oglądałam film w TV w Polsce i w Izraelu oraz słyszałam go w polskim radio. Jest autorem książki „Antysemityzm”. Może poznam go kiedyś osobiście.

Ciąg dalszy przeżyć K. E. Zawadzkiego, vel Zewadi

Jest koniec 1942 roku.

Aryjskie dokumenty i „dobry” wygląd pozwalają K. E. Zawadzkiemu poruszać się bezpiecznie z dala od Tłumacza, gdzie wszyscy wszystkich znali.

W Warszawie zostaje wciągnięty do konspiracji w AK. Nikt nie domyśla się kim jest. Stamtąd niebawem jest skierowany do dużego majątku rodziny Świderskich pod Żarkami koło Częstochowy, a więc na terenie „Generalnej Gubernii”. W majątku znajduje się już liczna rodzina wyrugowana przez Niemców ze swych własności położonych na terenie przyłączonym do „Reichu”. Nowoprzybyły stopniowo poznawał koligacje. Wszyscy byli „herbowi”. Do posiłków zasiada ponad 40 osób przy wspólnym stole. Żywności nie brakowało we dworze. Posiadłość położona z dala od bitych dróg przez znaczną część roku była niedostępna. Błotnisty dojazd zniechęcał – Niemcy tam nie zaglądali, a dwór wywiązywał się z narzuconych, obowiązkowych dostaw.

W majątku była duża biblioteka. W napotkanym herbarzu znalazł herb Zawadzkich i zapytany przez seniorkę rodu: „a pan z jakich Zawadzkich?” – odparł dumnie „Wrona” – wszystko się udało. Zatrudniony został jako „praktykant gospodarczy”. Otrzymał klucze i dostęp do

wszystkich zasobów dworu, które wydawał na zlecenie dziedzica. Miał pod swoją pieczęć piwnice, magazyny, spichrze. Całe dnie spędzał na koniu w polach.

Od czasu do czasu wykonywał zadania i brał udział w akcjach wyznaczanych przez dowództwo AK.

W tym czasie przeżywał swoją pierwszą miłość z wzajemnością – miał 23 lata.

Tak pracując zdala od Niemców i ich bestialstwa, nie zaznając głodu ni strachu przetrwał do początku 1945 roku.

Mimo błota dotarli do dworu żołdaci Czerwonej Armii łaknący przede wszystkim wódki i zainteresowani, jak daleko jeszcze do Niemiec, gdzie wszystko będzie do nich należało. Przebywali krótko, zrabowali kobietom biżuterię i odpowiednio „informowani, że do Niemiec jest bardzo blisko, już parli naprzód.

Nadszedł koniec wojny, zaczęła się „Wolna Polska”. Władza ludowa kasowała własność prywatną. Właściciele majątku stali się bezdomni, musieli wszystko oddać i opuścić dwór. Ukrywając uratowane kosztowności wyjechali do Krakowa. Karol rozpoczął nowy etap życia w wojsku. Początkowo w Krakowie, w III eskadrze lotniczej, następnie w Szczecinie i kolejno w Jeleniej Górze.

Z czasem Karol „przeszedł do cywila” i rozpoczął pracę w przemyśle papierniczym, jednocześnie latając na szybowcach. W Jeleniej Górze było lotnisko sportowe. Napotkanym znajomym pomagał (dzięki swoim licznym kontaktom) w uzyskiwaniu posad i mieszkań. Wśród tych osób pomógł także memu stryjowi – aptekarzowi z Tłumacza, którego znał stamtąd, w uzyskaniu dobrze zaopatrzonej apteki w Świdnicy z dużym mieszkaniem w tym samym domu. Zacieśniły się więzy ich znajomości, przekształciły się w przyjaźń. Jeździł do nich na weekendy. Sympatyzował z młodocianą krewną stryjenki.

Trwało to do 1948 r. – kiedy po wcześniejszych wydarzeniach kieleckich postanowił wyjechać z Polski.

Z przedwojenną maturą, uprawnieniami pilota i życiowym doświadczeniem z okresu wojny i PRL opuścił Polskę, by szukać i znaleźć swoją nową ojczyznę w Izraelu. Tu potrzebowano pilotów – tak powiedział napotkany znajomy. Decyzja i podróż statkiem z Gdyni do Le Harzu, potem Paryż, i z Marsylii dalsza morska podróż do Haify. Tak znalazł się na ziemi izraelskiej.

- 1) Ul. Nalewki to była przed wojną handlowa ulica żydowska w Warszawie.
- 2) List nie dotarł na święta do Wrocławia.

Dzwon Zygmunta

W artykule „Nasze strony” zamieszczonym w „ZT” Nr 4/24 znalazło się zdanie mówiące o tym, że „W 1532 r. odlano dzwon Zygmunta z 50 dział zdobytych pod Obertynem”.

W związku z powyższym pozwalamy sobie wyjaśnić, że jest to tylko legenda, aczkolwiek od czasu do czasu chętnie powtarzana. Otóż „Zygmunt” został odlany na polecenie Zygmunta I, a zawieszony na wieży 13 VII 1521 r.

Takie są fakty historyczne.

Również w poezji znajdujemy świadectwa na istnienie „Zygmunta” już przed bitwą pod Obertynem. Oto fragmenty poematu „Dzwon wawelski” Edmunda Wasilewskiego (1814-1846):

Rok 1520

*Onego czasu król dzwon kazał ułać,
I wybudował mu wieżę wysoką (...)
I dzwon ulany na karkach stu wołów
Wybiegł na wieżę i zawiesz u szczytu;
I wylał z siebie w przepaście błękitu
Pierwszy hymn Bogu, jak chóry aniołów (...)
A od imienia króla mu dano
Na tym chrzcie Zygmunta miano.*

Rok 1532

*Spod Obertyna wracał Jan z Tamowa,
A nad nim sztandar tryumfu wiał (...)
I zstąpił z tronu on król sędziwy,
Jana do serca przycisnął (...);
I kiedy starzec ścisnął starca dłonie męskie,
Dzwon rozgrzmiewał po powietrzu swe hymny zwycięskie.*

Z serdecznymi pozdrowieniami
Stanisław I Tadeusz Pelikan, Łódź

† ODESZLI

Śp. **Teresa Wojtowicz** z domu Hendyńska, lat 64. Córka organisty z Tłumacza, zamieszkała w Oławie. Odeszła na wieczny spoczynek w dniu 20 grudnia 2001 r. Niech spoczywa w pokoju.

Tłumaczanie

Sybiracze, córce ostatniego burmistrza Tłumacza, Koleżance **Mirze Siedler-Stral** wyrazy szczerego współczucia z powodu śmierci męża **Antoniego** zasłużonego kombatanta AK, autora książki pt. „Dziennik wspomnień”

składają Koleżanki i Koledzy z Tłumacza

Komunikaty

Informujemy o cyklicznych audycjach Telewizji Wrocławskiej-Program 3 pt. „**Studio Wschód**” red. **Grażyny Orłowskiej-Sondej**, która przybliży nam środowiska rodaków pozostałych na byłych Kresach II RP. Program ten jest nadawany w każdy **czwartek o godz. 18.50**.

Radio Regionalne Wrocław również imituje program kresowy w każdy **czwartek w godz. 20.00 do 21.00** na fali 102,3 MHz. Wszystkie wydarzenia dotyczące Kresowian żyjących we Wrocławiu i na Dolnym Śląsku można zgłaszać do **p. redaktor Ewy Stramskiej** Polskie Radio Wrocław 071 – 339 90 90 wew. 213.

Przypominamy, że prenumerata *ZT* na 2002 rok wynosi **20 zł**. Prosimy Szanownych Czytelników o jak najszybsze dokonanie wpłat.

Roczna składka członkowska nie uległa zmianie i wynosi **18 zł** dla emerytów, natomiast osiemdziesięcioletkowie są zwolnieni ze składek.

Zbieramy fundusze na wystawienie tablicy pamiątkowej ku czci naszych krajanów, którzy zginęli w Tłumaczu i powiecie tłumackim w czasie II wojny światowej z rąk nacjonalistów ukraińskich tylko za to, że byli Polakami. Tablica zostanie umieszczona w kościele pw. Św. Doroty i Stanisława przy ul. Świdnickiej we Wrocławiu, gdzie znajdują się już nasze dwie tablice tłumackie.

Wszelkie wpłaty prosimy kierować na konto bankowe Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan we Wrocławiu **PKO-BP IV O/Wrocław 10205255-434324-270-1**.

Podobnie jak w ubiegłych latach zapraszamy wszystkich chętnych do wspólnego wczasowania w Kołobrzegu w dniach 1-14 czerwca. Warunki pobytu podobnie jak w ub. roku.

Zgłoszenia pisemne prosimy nadsyłać do 30 kwietnia na adres Zarządu.

Zarząd i Redakcja

Wykaz Darczyńców za I kw. 2002 r. (w zł)

1. Janina Reich, Warszawa (na tablicę) 102.-
2. Jan Masłowski, N. Sól 20.-
3. Jan Stimm, Francja 7,50
4. Władysław Rzucidło, Warszawa 62.-
5. Jerzy Pielasz, Gliwice 2.-
6. Stefania Piotrowska, Sanok (na tablicę) 102.-
7. Anna Kusz-Królikowska, Kąty Wr. 2.-
8. Adam Biliński, 2.-
9. Zygmunt Burczyński, Marszów 2.-
10. Romana Jahnsen-Poczka, Nysa 12.-
11. Krystyna Hryhorczuk, Oława 12.-
12. Henryka Jankowska, Lubsko 12.-
13. Maria Sapa, Nysa 7.-
14. Józefa Stan. Cichoń, Nysa 14.-
15. Maria Piotrowicz, Kąty Wr. 4.-
16. Jan Ślązak, Wrocław 2.-
17. Krystyna Marciniak, Warszawa 12.-
18. Romualda Króliczek, Ruda Śląska 2.-
19. Filomena Wesola, Oława 2.-
20. Ks. Zbigniew Wróbel, Zachowice 112.-
21. Maria Adamczyk, Oborniki Śl. 42.-
22. Krystyna Szymułowicz, St. Gubin 9.-
23. Maria Byra, 2.-
24. Henryk Lisowski, Anglia 82.-
25. Jan Bielański, Wrocław 12.-
26. Stanisław Fudali, Szczecin (na tablicę) 39.-
27. Helena Jaśkiewicz, Siedlakowice 5.-
28. Janina Juszcak, Jeżów Sudecki 12.-
29. Tadeusz Szmyd, Kraków 12.-
30. Włodzimierz Tomyn, Warszawa 82.-
31. Teresa Sawina, Tarnów 22.-
32. Józefa Agopsowicz, Myślibórz 12.-
33. Jerzy Pruszyński, Wrocław (na tablicę) 200.-
34. Ryszard Macek, Warszawa 12.-
35. Emilia Bilut, Rzeszów 56.-
36. Józef Czohara, Chorzów 12.-
37. Piotr Woroszczuk, Wrocław 2.-
38. Józef Pławuszewski, Jeżów Sudecki 20.-
39. Wincenty Kłonowski, Piaszczyzna 12.-
40. Danuta Tabińska-Juhasz, Wrocław (na tablicę) 50.-

Wszystkim Ofiarodawcom składamy najserdeczniejsze podziękowania.

Errata

ZT Nr 3/23 „Skrzydlaty chłopiec” str. 24, wiersz 9 od dołu – jest „loteryk sowiecki”, ma być „lotczyk sowiecki”

ZT Nr 3/23, str. 11 – kol. Janinę Sokołowską-Kubicę „awansowaliśmy” do majora, jest porucznikiem.

ZT Nr 4/24 „Pamiętnik Jakubowicza” str. 16, zdjęcie na moście w Jaremczu – jest pierwszy z prawej J. A. Jakubowicz – autor pamiętnika; ma być drugi z prawej. Przepraszamy

Redakcja

Spis treści

Kresowa Wielkanoc – Jan Johnson – wiersz	1	
Kto pamięta – Tadeusz Bodniak – wiersz	1	
Wielkanocny piernik w Tłumaczu – „Koziorożec”	1	
Ludu, mój ludu, cożem Ci uczynił?... – Mieczysław Zdanowicz	2	
I Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym		
Mój mały Brat (cz. II) – Ks. Lesław Jeżowski	3	
Powrót (c.d.) – Franciszek Petrus	5	
II Tłumacz w latach wojennych 1939-1945		
Rabunek w Gaju (I) – Stanisław Fudali	7	
Cmentarz w Lenino – Jean Stimm	10	
III Kościół pw. św. Anny – tłumaccy księży		
Ks. Mikołaj Witkowski w moich wspomnieniach z Tłumacza (zakończenie) – Ks. Lesław Jeżowski	12	
Ksiądz Józef Lisowski (1912-1995) – Ks. Stanisław Turkowski	14	
IV Z Tłumackiego Powiatu		
Tarnawica Polna – Nowy Waliszów (cz. I) – Redakcja	16	
V Z życia Tłumaczan		
Spotkanie opłatkowe 2002 – Anna Panachida-Bocheńska	17	
Nasze strony (c.d.) – Danuta Tabińska-Juhasz	19	
Wspomnienie ostatniego lata – Adam Biliński	20	
VI Listy		
Listy z Izraela – III – Kornelia Szankowska	21	
Dzwon Zygmunta – Stanisław i Tadeusz Pelikan	22	
VII Odeszli		23
Komunikaty	23	
Wykaz Darczyńców za I kw. 2002 r.	23	
Errata	23	

Na tylnej stronie okładki wyjątek z ukraińskiej współczesnej mapy okolic Tłumacza

Redaguje zespół w składzie:	Danuta Tabińska-Juhasz – redaktor naczelny Helena Bilińska, Anna Panachida-Bocheńska, Krystyna Ossowska-Korta
Redakcja techniczna:	Franciszek Borkowski
Adres Redakcji:	TMLiKPW Ogólnopolski Oddział Tłumaczan. 50-079 Wrocław, ul. Ruska 32/33, I p. Tel. 071/344-88-93. Konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław 10205255-434384-270-1

Materiałów nie zamawianych Redakcja nie zwraca. Zwracamy natomiast przysyłane nam zdjęcia lub widokówki.
W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów
oraz poprawek stylistyczno-językowych.

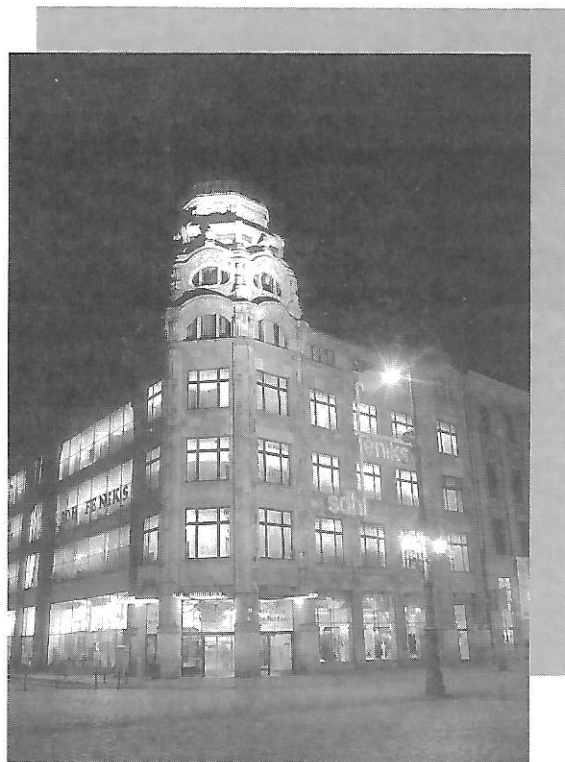
Uwaga! Cena rocznej prenumeraty ZT wynosi 20 zł.



SPÓŁDZIELCZY DOM HANDLOWY
„FENIKS”
WROCŁAW RYNEK 31

Zapraszamy
do zakupów
przez internet

www.feniks.wroc.pl
lub w sklepie www.totu.com.pl



e-mail: biuro@feniks.wroc.pl

tel. (071) 344 36 02
fax (071) 344 59 32

Zapraszamy na zakupy

Pn - Pt parter 7.00 - 19.00
 piętra 9.00 - 19.00

Soboty parter 7.00 - 17.00
 piętra 9.00 - 17.00

Oferujemy:

- Art. spożywcze
- Odzież i obuwie dla całej rodziny
- Zabawki i art. dziecięce
- Art. AGD
- Art. dekoracyjne
- Art. chemii gospodarczej
- Odzież i sprzęt sportowy

55 LAT TRADYCJI

